

Nowy ustrój – te same wartości

Olaf Swolkién

Nowy ustrój – te same wartości

Rzecz o tym dlaczego współczesny człowiek
niszczy naturalne środowisko

Instytut Spraw Obywatelskich
Łódź 2011



Łódź 2011

Wydanie II

Copyright © Olaf Swolkiń i Wydawnictwo „Zielone Brygady”

Autor: Olaf Swolkiń

Skład: Kooperatywa.org

Wydawca: Instytut Spraw Obywatelskich
Więckowskiego 33/107, 90-734 Łódź
tel./fax: +48 42 630 17 49, www.inspro.org.pl

| | |
|--|----|
| Wstęp | 5 |
| 1. Język | 10 |
| Praca i profesjonalizm | 11 |
| Nauka, fachowcy, specjaliści, eksperci | 15 |
| Emocje | 22 |
| Rozwój ekonomiczny i racjonalny | 26 |
| Święte prawo własności | 31 |
| Narkotyki | 34 |
| 2. Czas, zdrowie, śmierć | 42 |
| 3. Wolność, samotność, szczęście | 48 |
| 4. Polska | 61 |
| 5. Zakończenie | 73 |
| Bibliografia | 70 |

Wstęp

Motto:

Widzimy więc, że podczas gdy zwykłe życie – życie w sensie biologicznym – jest wielkością stałą, dla każdego gatunku określoną raz na zawsze, to fakt, który człowiek nazywa życiem takim, w jakim ma się dobrze, „dobrobytem” jest zawsze płynnym celem, nieskończenie zmiennym. A ponieważ zespół ludzkich potrzeb jest jego funkcją, okazują się one nie mniej urozmaicone, a skoro technika jest zespołem aktów wywołanych przez system owych potrzeb oraz w jego obrębie, stanowi ona również proteuszową rzeczywistość, nieustannie zmienną. Dlatego próżne byłoby dążenie do badania techniki jako bytu niezależnego lub takiego, który jest jakoby kierowany przez jeden jedyny i znany wcześniej wektor. Idea postępu, zgubna wszędzie tam, gdzie posługiwano się nią w sposób bezkrytyczny, również i tutaj okazała się fatalna. Zakłada ona, że człowiek chciał, chce i będzie zawsze chciał tego samego, że pragnienia życiowe zawsze były identyczne i jedyna zmiana w czasie polegała na stopniowym przybliżaniu się do uzyskania owego desideratum. Lecz prawda jest całkowicie odmienna: idea życia, kształt „dobrobytu” zmieniały się niezliczoną ilość razy, niekiedy tak gruntownie, iż porzucano tak zwany postęp techniczny i gubiono jego ślad.¹

Jose Ortega y Gasset

Ten długi, ale klasyczny fragment umieściłem na wstępie tego eseju, ponieważ wydaje się on ujmować precyzyjnie to, co decyduje w naszych czasach o zniszczeniu środowiska zarówno w krajach postkomunistycznych, na bogatym Zachodzie, jak i w coraz większej części Trzeciego Świata.

W dzisiejszej Polsce w jeszcze większym stopniu niż na Zachodzie, wszyscy którzy mają dostęp do środków masowego przekazu czy jakiegokolwiek znaczenie w życiu politycznym wydają się być jednomyślni

¹ J.Ortega y Gasset, *Bunt mas i inne pisma socjologiczne*, PWN, Warszawa 1982, s. 256.

co do celu i kierunku zmian, czyli co do kształtu „dobrobytu”. Spory toczą się jedynie wokół ich kolejności, tempa, skuteczności ich przeprowadzania czy tak zwanych kosztów społecznych, a raczej ich rozłożenia. W żargonie politycznych i intelektualnych „elit” zawsze jest to prawdziwie wolny rynek, prawdziwa demokracja i rozwój gospodarczy. Przekładając to na pragnienia przeciętnego wyborcy można by – używając języka potocznego – podsumować te „programy” słowami: *Żeby było tak, jak na Zachodzie*. Niewielkie różnice wynikają z tego, że lewica chce, by było tak, jak pod rządami socjaldemokratów, a prawica – chrześcijańskich demokratów, najlepiej w latach 60., ale bez roku 68. Oczywiście, jak wszędzie, tak i w Polsce występują pewne odchylenia od typu idealnego, ale nie ulega wątpliwości, że tak zwane uporządkowanie sceny politycznej zmierza do odtworzenia takiego właśnie układu. Problemy ekologiczne czy generalny kryzys zachodniej cywilizacji pozostają całkowicie poza zasięgiem wyobraźni przedstawicieli klasy politycznej i środków masowego przekazu. Toczą się, oczywiście, głośno i ordynarnie kłótnie, ale nie mają one żadnego związku z rzeczywistymi problemami, na jakie każdy obywatel natyka się w codziennym życiu. Oprócz osobistych interesów chodzi przede wszystkim o sprawienie wrażenia, że coś się zmienia. I dlatego społeczeństwo daje dowód posiadania pewnej dozy zdrowego rozsądku, bojkotując, a raczej lekceważąc wybory i inne tego typu imprezy. Muszę przyznać, że nie czytałem dokładnie ekologicznych elementów w programach wyborczych. Zbyt dobrze wiem, jak się takie programy pisze i jaki mają one związek z rzeczywistymi zamiarami poszczególnych partii. Ich treść jest tylko i wyłącznie rezultatem przypadku, jakim jest to, czy kumpel poproszony o zredagowanie „czegoś o ekologii” lepiej lub gorzej opanował ekologiczny żargon. Każdy średnio wykształcony człowiek może taki „program” napisać w ciągu godziny. Najlepszym przykładem krańcowego cynizmu w tej dziedzinie jest postawa Unii Demokratycznej (potem UW, obecnie LiD), która posiada tzw. forum ekologiczne i jednocześnie lansowała i lansuje najbardziej antyekologiczne projekty; takie jak budowa autostrad. Samo hasło „Po pierwsze: gospodarka” jest podsumowaniem tej wrogiej środowisku naturalnemu postawy. Z punktu widzenia ochrony środowiska

należałoby głosować na te partie, które obowiązujący model naśladowują stosunkowo nieudolnie i – oceniane realnie, a nie na podstawie „programów” – zagwarantują najmniejszy wzrost gospodarczy, ogólny spadek konsumpcji i uspokojenie gospodarki, zamiast ożywienia. W sumie są to jednak nieistotne detale. Rzeczywisty problem polega na tym, że są to grupy, które mają niemal identyczne wyobrażenie o kształcie „dobrobytu” i że cele, które mniej lub bardziej udolnie starają się realizować, w masowej świadomości funkcjonują jako jedynie słuszne. A to właśnie ten rodzaj „dobrobytu” oznacza zagładę dzikiej przyrody. Opis materialnej rzeczywistości, do której tak jednomyślnie dążymy, znajduje się w książce Konrada Lorenza, gdzie tłumaczy on, co oznacza anglojęzyczny zwrot: *To develop an area*. A znaczy: *radykałne wyniszczenie wszelkiej naturalnej roślinności na danym skrawku ziemi, pokrycie uwolnionego w ten sposób gruntu betonem lub w najlepszym razie trawnikiem parkowym, ewentualnie umocnienie istniejącej plaży nadmorskiej betonowym murem, uregulowanie – lub, o ile to możliwe – ujęcie rurami biegu potoków, gruntowne zatrucie całości pestycydami, aby w końcu możliwie drogo sprzedać go posłusznie umiastowionemu i ogłupiałemu konsumentowi*². (w Polsce ludzie zajmujący się tym procederem zwani są deweloperami czyli „rozwijaczami” – ciekawe jak brak tłumaczenia może łagodzić koszmarność tego terminu) Książka Lorenza nosi tytuł *Regres człowieczeństwa*. Pytanie o to, dlaczego dzisiejszy człowiek utożsamia dobrobyt z życiem w tak „rozwinętym terenie”, wydaje się pytaniem dla ekologii zasadniczym. Walka o wybudowanie oczyszczalni ścieków, ścieżki rowerowej czy też wysiłki na rzecz zaniechania budowy elektrowni, tamy czy autostrady są potrzebą chwili, ale bez zmiany ludzkiego myślenia i bez podważenia zasadniczych dogmatów panującej ideologii rozwoju jest to działanie podobne do leczenia przez zachodnią medycynę – skuteczne w nagłych przypadkach i na krótką metę. Zablokowanie jednej budowy spowoduje jej przeniesienie gdzie indziej, zastosowanie innej benzyny czy katalizatora to tylko zmiana rodzaju emitowanych zanieczyszczeń: bardziej szkodliwych tu i teraz na bardziej

2 K.Lorenz, *Regres człowieczeństwa*, PIW, Warszawa 1986, s. 13.

szkodliwe tam i potem. Jest charakterystyczne, że wiele z tych akcji odbywa się bez poparcia, a często przy wrogiej postawie ludności miejscowej, która marzy o zamieszkaniu w barakach i nowych miejscach pracy. W takiej sytuacji osiągnięcie nawet doraźnego sukcesu jest prawie niemożliwe.

Nie ulega wątpliwości, że współczesny ustrój polityczny i gospodarczy, wraz ze wspierającą go ideologią i systemem edukacji, który służy praniu mózgowi od przedszkola aż do emerytury, tworzą system, który prowadzi do zniszczenia życia na Ziemi, przy czym jest to system absolutnie zamknięty, tzn. że każdy z jego elementów służy utrwalaniu pozostałych. W tym sensie jest to także system par excellence totalitarny. Jego totalitaryzm tym różni się od komunistycznego, czym *Nowy wspaniały świat* Huxleya różni się od *Roku 1984* Orwella i o tyle jest groźniejszy, ponieważ trudniejszy do zauważenia. Ale gdyby ktoś zechciał dziś żyć tak, jak np. Henry Thoreau, czyli prawdziwie niezależnie, to przekonałby się, że nie ma na to najmniejszych szans. Nie ma już ziemi, która nie jest czyjąś „świętą własnością”, która jest nieskażona, nie ma czystej wody i ryb ani żadnej wody poza tą, której dostarcza przemysł i którą truje, każąc sobie potem płacić za jej „uzdatnianie”, a zamiast deszczu spada z nieba kwas siarkowy. Drakońskie podatki i przymusowe ubezpieczenia też zmuszają do korzystania z „opieki” systemu. Ale najważniejsze jest to, że od urodzenia do śmierci jesteśmy karmieni przymusowo propagandą, która ma uczynić z nas pracokonsumentów, bez wytchnienia albo coś produkujących, albo konsumujących i zniechęcić nawet do odrobiny niezależności. Współczesna reklama, szkoła i media są znacznie bardziej skuteczne od komunistycznych szkoleń. Teoretycznie ludzie są wolni, ale tak naprawdę musieliby mieć stale opaskę na oczach, gałki w uszach, żeby uniknąć obrazów, głosu i innych wpływów propagandy i reklamy, która jest jej odmianą.

Kluczowym zagadnieniem, którego rozważenie jest konieczne dla zrozumienia tego systemu, jest język, jakim się posługuje. Bo to on ma zasadniczy wpływ na nasze myślenie. Bez niego protest i walka zmieniają się w bełkot i niekontrolowane wybuchy agresji, które same w sobie mogą co prawda zachwiać panującym porządkiem, ale

bez sformułowania celów nie są w stanie zmienić cywilizacji. Panujące elity dokładają wszelkich starań, by odciągnąć ludzi od trzeźwego myślenia o rzeczywistości, bo zdają sobie sprawę, że jest to największe zagrożenie dla panującego porządku. Najlepszym tego przykładem jest tak zwana walka z narkotykami. Naprawdę chodzi w niej tylko o wyeliminowanie konkurencji i o to, żeby narkomania była kontrolowana, a produkcja narkotyków od samochodów po środki psychotropowe wspomagała rozwój gospodarki i budżet państwa. Narkotyki są najbardziej znaczącym symbolem współczesnej zachodniej cywilizacji, która tak jak one zdecydowana jest nie dopuścić do pełni człowieczeństwa, do ukształtowania ludzi mających zarówno rozum, jak uczucia, potrafiących jednocześnie myśleć i kochać, rozmawiać, ale i walczyć, kiedy argumenty są wyczerpane, ludzi zdolnych do odwagi cywilnej, ale i tej zwykłej, która nakazuje ryzykować życiem i zdrowiem, ludzi widzących tragizm umierania i umiejących walczyć w obronie życia, wierzących, że to, co robią, jest słuszne, ale nie wyzbytych poczucia humoru. Wiem, że to, co piszę brzmi patetycznie, ale moda na sceptycyzm, nijakość i cynizm też jest elementem panującego systemu.

1 | JĘZYK

*Filozofia jest to wysiłek, mający chronić przed omamieniem nas przez język.*³

Ludwig Wittgenstein

Zasadniczą cechą współczesnej nowomowy nie jest tworzenie nowych słów, ale manipulowanie znaczeniem, jakie się im nadaje. Celem jest zawsze wywoływanie negatywnych lub pozytywnych emocji po usłyszeniu lub przeczytaniu danego słowa. Ono samo zaczyna wtedy tracić swoją funkcję opisywania rzeczywistości, a staje się nośnikiem i narzędziem ideologii. W komunizmie klasycznym tego przykładem było słowo: reakcyjny. Nikt nigdy nie trudził się udowadnianiem na czym polega zło reagowania na to, co dzieje się wokół. Chodziło o to, żeby negatywne lub pozytywne zabarwienie przyjąć jako oczywiste, tak oczywiste, że nie należy się nad nim zastanawiać, bo zastanawianie do razu zburzyłoby całą konstrukcję i pokazało, że to co próbuje się narzucić jako prawdę obiektywną jest wątpliwe i opiera

³ T. Roszak, *The Making of Counter Culture. Reflections on the Technocratic Society and Its Youthful Opposition*, Anchor Books, N.Y. 1969, s. 142.

się na ideologii, którą wyznaje nadawca przekazu. Dokonawszy raz takiego zabiegu, można potem budować już całkiem spójne logicznie konstrukcje, tyle tylko, że oparte na nieudowodnionych założeniach, których przyjęcie jest właściwym celem całej operacji. Po tym poznaje się doktrynerów wszelkiej maści. Jeżeli się ich na tym przyłapie, wtedy cała logika pryska i pojawiają się argumenty typu: przecież wiadomo..., wszyscy jesteśmy wierzący..., wszyscy normalni ludzie... albo inicjuje się stan świętego oburzenia wobec kogoś, kto szarga świętości lub kwestionuje podstawy „naszej” cywilizacji.

Praca i profesjonalizm

O, godni litości są działający z chęci zysku.

Bhagavadgita (II, 49)

Słowem, które uczyniono przedmiotem takiej gigantycznej manipulacji zarówno w komunizmie, jak i w kapitalizmie jest praca. W obu ustrojach jest ona pojmowana w podobny, bardzo szczególny sposób. Tak zwani ludzie pracy w realnym socjalizmie oceniani byli poprzez przynależność do pracowniczego kolektywu. Pytania: kim jesteś? co robisz? są pytaniami o wykonywany zawód także w kapitalizmie. Niezbyt znacząca różnica polega na tym, że komunizm kładł większy nacisk na fizyczną uciążliwość danego zajęcia. Wiązało się to z ideologicznym podejściem do klasy robotniczej. Nawiasem mówiąc, sprzeczne z tym było pojęcie i rozumienie awansu społecznego. Obecnie akcent z fizycznego trudu został przeniesiony, a raczej zmonopolizowany poprzez potencjalne dochody jako czynnik determinujący rangę danego zawodu. Wiąże się to z wiarą, że potrzeby nie są sztucznie stymulowane przez reklamę i przez fakt, że znakomita większość wynalazków służy usuwaniu negatywnych skutków innych owoców postępu technicznego. W efekcie rodzi się przekonanie, że tzw. wolny rynek jest sędzią naszych czynów i społecznej wartości. Jest jednak charakterystyczne, że nawet ludzie bardzo bogaci w nowym

systemie, przekonują opinię publiczną, że w zdobywanie majątku włożyli i wkładają bardzo wiele wysiłku, a i po jego nagromadzeniu nadal bardzo się męczą jako jego zarządcy. W ich przekonaniu ma to stanowić rodzaj społecznej legitymizacji. Ostentacyjna konsumpcja i wiadomości o niej też pojawiają się w sąsiedztwie informacji o tym, że jest to efekt morderczego wysiłku i wielkiego ryzyka. W sumie składa się to na model tak zwanego mocnego życia: dużo produkujesz i dużo konsumujesz. Konsumując zwiększasz popyt i stwarzasz nowe miejsca pracy, produkując przyczyniasz się do wzrostu dochodu narodowego i zaspokajasz potrzeby innych, zwiększa się też wymiana handlowa, a to oznacza więcej ciężarówek i spalin, czyli kolejne cyfry zapisane po stronie plusów w tabelach, sporządzanych przez profesorów ekonomii. Przy okazji, jak za czasów Edwarda Gierka, możesz zasłużyć na tytuł dynamicznego, ty więc jesteś dynamiczny, a gospodarka dynamicznie się rozwija. Tak można streścić wszystkie podręczniki i doktryny ekonomiczne, panujące w naszych czasach. Jeżeli biegle posługujesz się tym schematem, zyskasz miano eksperta i fachowca. Jeżeli konsekwentnie nie widzisz niczego poza nim, zyskasz miano twardego i takiego, który mówi ludziom prawdę w oczy. Jak widać, w związku z pracą pozostaje cały szereg „dobrze brzmiących” słów, ale pojęcie pracy, w odróżnieniu np. od konsumpcji jest tym, którego kultu nikt nie kwestionuje. Np. prawica, a szczególnie jej tradycjonalistyczny odłam, deklaruje jednocześnie kult pracy i walkę z konsumpcyjnym stylem życia. Widać tu charakterystyczny dla tej formacji doktrynerski sposób postrzegania świata, w którym rzeczywistość podporządkowana jest ideologicznym schematom, a rozwyrzone dzieci ciężko pracujących prawicowych ojców są rozwyrzone dlatego, że źli ludzie je do tego namówili.

Mogę w tym miejscu być posądzony o zachęcanie do gnuśności i lenistwa, dlatego trzeba rozważyć kolejne dwa zabiegi, jakich wszechobecna propaganda dokonała na ludzkiej mowie. Pojęcie pracy zostało w jej języku skrajnie zawężone, a jednocześnie oderwane od jakichkolwiek wartości fundamentalnych. Tym, co nazywa się pracą jest tylko i wyłącznie tak zwane chodzenie do pracy, czyli działalność przynosząca zysk pieniężny. Zysk to centralna, ale ciągle nieco wstydliva

kategoria panującej ideologii. Takie zawężone rozumienie pracy ma na celu przemycenie jej kultu. Jeżeli zajmujesz się sprzątaniami własnego mieszkania, sporządzaniem wykwinnych, a więc i pracochłonnych posiłków, uprawiasz własny ogród, wychowujesz dziecko, pieczesz, szyjesz na własny użytek – to nie pracujesz i jesteś bezrobotny. Nawet gorzej, przyczyniasz się do recesji i spadku wymiany handlowej. Takie spędzania czasu jak modlitwa, medytacja, zabawa, doskonalenie siebie, trening również nie dają się przeliczyć na pieniądze, a więc nie są pracą. Jeżeli się tym zajmujesz to znaczy, że jesteś próżniakiem i pasożytem. Natomiast jeżeli budujesz jakiś wielki i zabójczy dla życia na Ziemi obiekt przemysłowy albo autostradę czy lotnisko, jeżeli piszesz liczne i jałowe teksty – tzw. publikacje – to jesteś pracowity; jeżeli przygotowujesz dobrą i zabawną reklamówkę kolejnej tandety, to ważne, że robisz coś za co płacą, że twój czas jest zajęty. A z boku słychać diabelski szept: **ważne, że nie myślisz, ważne, że jesteś zajęty wszystkim, tylko nie własnym duchem czy charakterem, nie realizacją osobistego powołania.** Fryderyk Nietzsche podsumował to następująco: *chwalczy pracy w wysławianiu „pracy” w niestrudżonym głoszeniu „błogosławieństwa pracy” widzę tę samą myśl uboczną, co w pochwaleniu ogólnie pożytecznych nieosobistych uczynków: lęk przed wszystkim, co indywidualne. Jakoż istotnie, na widok pracy, a rozumie się przez nią zawsze ów znojny mozół od świtu do późnej nocy, odczuwa się obecnie, iż praca taka jest najlepszą policją, iż dzierży każdego na wodzy i stanowi nader skuteczną przeszkodę dla rozwoju rozumu, dla poządlivosti, tudzież zachcianek swobody⁴.* Ileż jest w tym kulcie pracy z przypisywanej kiedyś wyłącznie komunizmowi i ludziom przezeń zniewolonym postawy: chcę, by i tobie było tak źle jak mnie, chcę, byś tak samo marnował życie i poświęcał się dla wzrostu gospodarczego. A produkcyjna hierarchia ludzkiej aktywności jest dla środowiska zabójcza i śmiało można zaryzykować twierdzenie, że im czyjaś praca jest dla środowiska i życia na Ziemi bardziej szkodliwa, tym większym cieszyć się on dziś prestiżem.

⁴ F. Nietzsche, *Jutrzenka, myśli o przesądach moralnych*, nakład Jakóba Mortkowicza, Warszawa 19077, s. 179.

Gdyby jednak przez niedopatrzenie systemu ktoś zechciał zastanowić się nad tym, czy to, co robi służy czemuś, co uważa za dobre, czy przyczynia się do właściwego zużytkowania jego talentów i ludzkiego powołania, wtedy język i moda stawiają mu na drodze kolejną zaporę, kolejne słowo, które uwolni go od niepotrzebnych rozterek, ten magiczny dźwięk to: profesjonalizm. W dawnych czasach, zgodnie ze słownikowym znaczeniem termin ten oznaczał, że dana czynność jest wykonywana za pieniądze. Było to słowo opisowe i niewartościujące. Przeciwnie: sport uważany był za coś szlachetniejszego od cyrku. Obecnie nie mówi się, że coś jest zrobione dobrze, ładnie, starannie, ale że jest zrobione profesjonalnie. Czasem nawet dotyczy to pracy faktycznie wykonanej za darmo. Oznacza to obowiązkową wiarę w to, że zrobić coś pięknie i dobrze można tylko dla pieniędzy. Parę drobnych szczegółów z historii myśli ludzkiej, sztuki, rzemiosła czy architektury jest w tym wypadku pomijanych, a jak wiadomo, współczesna architektura i inne wytwory naszej kultury – od przedmiotów codziennego użytku po filozofię – nie mają sobie równych. Otaczają nas przedmioty piękne, pożyteczne i solidnie wykonane, wykonane – rzekłbym – profesjonalnie.

Ale ma kult profesjonalizmu inny, groźniejszy dla człowieczeństwa wymiar. Za najstarszą profesję świata uważa się prostytutkę, a profi to synonim zawodowego mordercy. Te dwa najbardziej profesjonalne zajęcia oddają prawdziwy sens tego słowa. Chodzi mianowicie o to, żeby skutecznie wyciszyć w sobie wszelkie skrupuły i naturalne uczucia, żeby to, co robimy, robić na zimno, spokojnie jak automat, żeby zapomnieć, że jesteśmy ludźmi. Tylko tak przygotowany człowiekopodobny twór wypełni każde polecenie, a przede wszystkim zrealizuje to, co w kapitalizmie święte: zrealizuje zamówienie i zaspokoi tym czyjąś potrzebę, a o to przecież chodzi. A ponieważ większość współczesnych profesji jest dla środowiska i myśli ludzkiej zabójcza, to ich wykonawcy muszą być coraz bardziej profesjonalistami i sprzedawać swoje ciała i umysły nie myśląc o skutkach swojego działania i nie zadając niepotrzebnych pytań, tak jak przy dokonywaniu przestępstwa na zamówienie. Niedawno czytałem, że idealny profesjonalny spiker powinien zapowiedzieć koniec świata takim samym tonem, jak

następny program. Sądząc ze sposobu, w jaki się podaje kolejne wiadomości o zagrożeniach ekologicznych, to mamy już z takim profesjonalizmem do czynienia, a idealna, profesjonalna widowia nawet tej zapowiedzi nie zrozumie. Po prostu nic nikogo nie obchodzi. Cele i środki ludzkiego działania zostały więc pomieszczone, a prawdziwy sens życia i spełnienia się poświęcony na ołtarzu mamony. Te oczywiście, lecz zakrzywane prawdy znakomicie sformułował Teodor Roszak, pisząc: *Praca, która wytwarza niepotrzebną tandetę albo broń jest zła i szkodliwa. Praca zaspokajająca niewłaściwe potrzeby lub niestosowne apetyty jest zła i szkodliwa. Praca oparta na oszustwie i manipulacji, na wyzysku lub degradacji jest zła i szkodliwa. Praca, która okalecza środowisko lub zeszpeca świat jest zła i szkodliwa*⁵.

Nauka, fachowcy, specjaliści, eksperci

*Cała nauka nie jest niczym więcej niż esencją codziennego myślenia.*⁶

Albert Einstein

Pewna aktorka pozwała do sądu pewnego pana za to, że określił ją słowem „kochanka”. Żeby ustalić, czy słowo jest obraźliwe, sąd wezwał biegłego – profesora historii obyczajów.

Historia autentyczna z III RP

*Świat posiada ograniczoną „zdolność nośną”, która może utrzymać jedynie pewną określoną liczbę ludności przy życiu. Teoria ta nie ma absolutnie żadnych podstaw naukowych.*⁷

Fragment apelu Instytutu Schillera
przeciw konferencji demograficznej w Kairze

⁵ T. Roszak, *Person/Planet*, s. 22, za: F. Capra, *Punkt zwrotny*, PIW, Warszawa 1987, s. 315.

⁶ A. Einstein, *Out of My Later Years*, za: *Who said what*, Chancellor Press, London 1993, s. 337.

⁷ Apel Instytutu Schillera, *Powstrzymaj konferencję w Kairze*, „Gość Niedzielny” 23/1994.

Fakty: eksperci w roku x na łamach pisma y zapowiadali ocieplenie, eksperci w roku z na łamach pisma w zapowiadali oziębienie.

Wniosek: Problem zmian klimatycznych to bzdura, podobnie jak i cała ekologia.

JK, „Gazeta Polska”

Powołanie się na autorytet nauki jest dziś mniej więcej tym, czym w stalinizmie było powołanie się na zdanie wodza narodów lub na zdanie Kościoła w czasach Inkwizycji (w Polsce współczesnej podobną rolę „posiadacza prawdy absolutnej” spełnia Zachód). O ile jednak Kościół częściej zajmował się sprawami nie z tego świata, to nauka z zasady zajmuje się właśnie doczesnością. Mając na uwadze zdanie Einsteina, kult nauki musi prowadzić do skostnienia myślenia, tak jak rytualizacja i instytucjonalizacja może zdusić prawdziwą wiarę. Dzisiejsi uczeni przypominają coraz bardziej kapłanów. Natomiast wiedza, tak zwana naukowa, pełni rolę magii w prymitywnych plemionach, przy czym coraz częściej jest to magia czarna, która służy zastraszaniu i manipulacji. I to właśnie robią najróżniejsi eksperci, specjaliści i fachowcy. Bardzo pomaga im w tym skomplikowany język, a także niebranie pod uwagę żadnych czynników spoza wąskiej specjalności. Dzięki temu cały wywód nabiera czasem cech logicznej spójności i słuchacz czy czytelnik, który przebrnął przez zawilóści słownictwa, ma wrażenie, że oto rozwiązał krzyżówkę, w której wszystko pasuje. W międzyczasie zapomina, że świat i rzeczywistość nie są podzielone według specjalności, a procesy życiowe nie zawsze zamykają się w ramach prostych, czy specjalistycznych schematów. Innym sposobem, w jaki współczesny uczoney próbuje otumanić słuchaczy, jest podawanie ogromnej liczby danych czy wiadomości, czyli olśniewanie erudycją. Jednak sama wiedza to coś zupełnie różnego od myślenia, a jeszcze bardziej od wymyślenia czegoś oryginalnego. Odkrycie naukowe, tak samo jak każde inne odkrycie czy rozwiązanie problemu, polega zawsze na zdolności kojarzenia, tworzeniu nowej kombinacji danych, wyciąganiu nowych wniosków. W tym kontekście słusznie zauważył Artur Schopenhauer, że wyższość przełomów w filozofii nad tymi dokonaniem w wąskich dyscyplinach

naukowych polega między innymi na tym, że danymi do tych pierwszych dysponuje każdy. A idąc dalej, wydaje się, że dokonania te podlegają powszechnej weryfikacji. A ponieważ dotyczą problemów podstawowych, to ich konsekwencją jest kształt pozornie obiektywnych teorii w wąskich dyscyplinach nauki. Dzisiaj jednak również filozofia ukrywa swoją słabość przy pomocy zawikości języka. Praca specjalistów jest zawsze czymś podrzędnym i im bardziej niedostępne dane, tym łatwiej się w takich dyscyplinach wybić. Niestety, zaboronny stosunek do nauki powoduje, że dziś powszechnym uznaniem darzy się proporcjonalnie do niezrozumienia tego, o czym dany specjalista mówi lub pisze. Specjalizacja jest często złem koniecznym, ale czynienie ze specjalistów autorytetów, które decydują o modelu życia, a tak dzieje się np. z ekonomistami i prawnikami, jest wielkim nieporozumieniem. Także dlatego, że dzisiejsi ekonomiści o filozofii i ludzkiej biologii nie mają pojęcia i na ogół spędzają życie z dala od żywej przyrody. Jest oczywiste, że oni sami nigdy nie pogodzą się z tym faktem, ponieważ oznaczałoby to zmianę roli społecznej z proroków na niewiele rozumiejących buchalterów, którymi w rzeczywistości są. Przykład ekonomii jest ważny także dlatego, że jej cyfrowo-graficzny żargon stanowi źródło zazdrości innych naukowców, którzy wierzą, że dzięki takiej formie uzyskają klucz do obiektywności lub że za obiektywnych zostaną uznani. Oglądając te wszystkie obrazki i wykresy trzeba jednak pamiętać, że zawsze jest ktoś, kto dokonuje wyboru danych i że zawsze jest to zależne od takich czynników, jak panująca obecnie moda w danym środowisku (a tylko rzeczy modne mają szansę na opublikowanie), układ stosunków na danej uczelni czy interes sponsora. Fakt, że dzisiejsi uczeni są profesjonalistami i w odróżnieniu od swych poprzedników zależą materialnie od akceptacji swych odkryć, odgrywa w tym procesie kapitalną rolę. Uchodzące za obiektywne tzw. prognozy komputerowe opierają się, jak ktoś słusznie zauważył, na metafizycznym założeniu, że przyszłość będzie taka, jak przeszłość lub teraźniejszość. Popularność wszelkiego rodzaju banków danych wyraża wiarę, że ilość informacji może zastąpić jakość myślenia i wyobraźni; wystarczy je zgromadzić i już będziemy mieć klucz do mądrości i rozwiążemy wszystkie problemy. Pewno

dlatego jest ich coraz więcej, a pytanie, kto będzie w stanie ocenić, która z prognoz sporządzonych przez komputer jest trafna, zostanie rozstrzygnięte przez inny komputer. Ilość prognoz i teorii, które się nie sprawdzają rośnie w tempie lawinowym. Nauka opierająca się na takich zasadach przypomina ograniczonego małego mieszczaucha, który święcie wierzy, że to, co zdarzy się w przyszłości musi być podobne do tego, co jest lub było – tylko dlatego, że on sam niczego poza tym nie jest w stanie sobie wyobrazić. Jest w tym też demokratyczne marzenie o tym, że nie będzie już głupców i ludzi zdolnych, że wystarczy dużo się uczyć i pracować, a za zapracowane pieniądze kupić sobie komputer, aby dorównać Einsteinowi. Ale natura jest niesprawiedliwa, a wielkie odkrywcze myśli przychodzą tylko wtedy, gdy mają taką ochotę i tylko do takich głów, które im się akurat podobają. Debil zaopatrzony w komputer pozostanie debilem, tyle tylko, że przekonanym o swej nieomyślności. Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze upadek etyki, który sprawia, że można dziś wynająć ekspertów, którzy dostarczą materiału na poparcie dowolnej tezy.

Mamy więc do czynienia z dwoma zjawiskami: z jednej strony ludzie żywią do wszystkiego, co nosi pieczęć naukowości stosunek zabobonny, a z drugiej wiedzą, że nauka może być nadużywana i głosić w zależności od doraźnych interesów to, za co się zapłaci. A efekt jest zawsze ten sam: rezygnacja z samodzielnego myślenia i wysiłku zrozumienia rzeczywistości. Odwracając powiedzenie Einsteina można stwierdzić, że zabobonne traktowanie nauki przeradza się w naszych czasach w zabobonny strach przed myśleniem. Każdy z trzech przytoczonych na wstępie przykładów ilustruje to zjawisko. Wiara sędziwego, że profesor wie lepiej, co jest obraźliwe, to lustrzane odbicie postawy publicysty „Gazety Polskiej”, który doszedł do wniosku, że jeżeli ludzie opatrzeni naukowymi tytułami się mylą lub mają sprzeczne opinie, to wyrobienie sobie własnego poglądu na dane zagadnienie na podstawie oczywistych i powszechnie dostępnych danych, takich jak choćby wskazania termometru jest niemożliwe w ogóle. Stosując takie podejście np. w odniesieniu do Kopernika i Ptolemeusza należałoby stwierdzić, że cała ta astronomia to zawracanie głowy. Krańcowy przykład takiej postawy to autorzy apelu uważający, że o ile nie

ma naukowej teorii na to, że Ziemia ma ograniczone zasoby, to znaczy, że ma nieograniczone. W ten sposób można zanegować każdą oczywistość, bo na nią nigdy nie ma teorii, podczas gdy ona sama zawsze stoi u jej podstaw. Dyskusja związana z konferencją w Kairze to znakomity przykład myślowego kołtuństwa, które kazało głosić jej przeciwnikom, że jeśli dotąd żyjemy, to znaczy, że nie ma co się ekologią przejmować. Absurdalność takiego rozumowania nie zmienia obrzydliwości stanowiska strony przeciwnej, która chciałaby urzędowo decydować o tym, ile kto ma mieć dzieci. I to bynajmniej nie po to, by chronić dziką przyrodę, ale by zrobić więcej miejsca dla samochodów, które z kolei mają wraz z innymi symbolami „dobrobytu” zniechęcić do posiadania tychże dzieci.

Kult fachowców ma też swoje odbicie w sferze estetycznej. Obserwując szpetotę polskich domów i rozmawiając o niej mam wrażenie, że ludzie je budujący, podobnie jak moi rozmówcy są przekonani, że nie wiedzą, czy te domy są ładne czy brzydkie, bo nie są architektami, a jeżeli nawet coś tam czują, to wstydzą się tego powiedzieć. W takich sytuacjach uciekają się do jednego z wielu „dobrze brzmiących” i absurdalnych powiedzonek: „nie chcę się wypowiadać, bo nie jestem fachowcem” i myśli takie coś, że właśnie dało dowód skromności i trzeźwości sądu. I właściwie nie wiadomo, jaki to cud sprawił, że prosta chata, budowana kiedyś domowym sposobem znacznie lepiej pasowała do krajobrazu, niż współczesne budowle, również te budowane i projektowane przez fachowców. Polskie zakompleksienie ma tu zresztą swój udział i można dumnie stwierdzić, że w tej dziedzinie wyprzedziliśmy świat.

Nacisk kładziony na obiektywizm współczesnej nauki ma podobne podłoże jak kult profesjonalizmu. Tytułem do chwały dla profesjonalisty jest automatyzm i zduszenie w sobie wszelkich ludzkich odruchów – uczony twierdzi, że ich po prostu nie ma, a jeżeli ma, to podporządkował je rozumowi. Udało mu się tego dokonać dzięki cudownej recepcji na podział własnej osobowości. Uczony z alienacji lub wrodzonego defektu uczynił cnotę. William Hazlitt w eseju pt. *Pan Bentham* dał znakomity portret takiego uczonego – twórcy doktryny utylitaryzmu – J. Benthama: *Zażywa ruchu tocząc drewniane utensylia*

na tokarce i wyobraża sobie, że ludzi potrafi obtaczać w taki sam sposób. Nie bardzo lubi poezję i nie potrafi chyba wyciągnąć jakiegoś morału z Szekspira. Dom jego ogrzewany i oświetlany jest parą. Należy do tych ludzi, którzy przeważnie wolą rzeczy sztuczne od naturalnych. Umysł ludzki uważa za wszechmocny. Ma wielką pogardę dla krajobrazu i pięknych widoków zielonych łąk i drzew (wszystkie w swoim ogrodzie chciał wyciąć – przyp. O.S.) i jest zwolennikiem powodowania się w każdej sprawie użytecznością⁸. Tradycja takiego wzoru osobowości uczonego przewija się zresztą przez dzieje nauki od czasów starożytnych. Pomimo wspaniałych osiągnięć intelektualnych autora, lektura Arystotelesa zawsze pozostawia wrażenie, że pisał to ktoś podobny do pana Benthama; świat opisany jest tam w punktach, różnica między człowiekiem a innymi zwierzętami określona jednym zdaniem, a wszystko sztuczne, systematyczne i martwe. Przeciwnie, kiedy czyta się dzieła Platona czy świętego Augustyna to wiadomo, że pisali je żywi ludzie, którym nieobce były silne uczucia.

Kochaj i rób, co chcesz – to zdanie bardzo nienaukowe, ale to właśnie zdolność do silnych uczuć i doznań jest warunkiem autentycznej twórczości w każdej dziedzinie. Współczesny Benthamowi Shelley w swojej *Obronie poezji* pisał: *W wytworzeniu i zapewnieniu rozkoszy w sensie najwyższym mieści się prawdziwa korzyść. I ci, którzy wytwarzają i zachowują tę rozkosz są poetami albo poetycznymi filozofami*⁹, a pisząc o współczesnej mu nauce stwierdzał: *Poezja w tych systemach myśli jest zduszona przez nagromadzenie faktów i procesów rozumowych (...) nasze rozumowania przewyższyły naszą koncepcję. Najdobitniej określił jednak te tendencje w odniesieniu do współczesnego malarstwa John Fowles: *Kastracja, triumf eunucha (...)* Odwrót od natury i rzeczywistości straszliwie wypaczył relację między malarzem a widzem, teraz malowało się dla intelektu i teorii. Nie dla ludzi, a najgorsze, że nie dla siebie. Płynęły z tego oczywiste korzyści materialne, sława, lecz wyrzucenie za burtę ludzkiego ciała i jego naturalnej fizycznej percepcji otworzyło rynnę, lej prowadzący ku nicości, ku*

8 W. Hazlitt, *Eseje wybrane*, Warszawa 1957, s.61.

9 Shelley Percy Bysshe, *Obrona poezji*, 1939, s. 34.

zgodzie między malarzem i krytykiem w jednej tylko rzeczy: że tylko oni istnieją i mają wartość. Dobry nagrobek dla wszystkich szumowin, których nigdy nic nie obchodziło. Zetknięcie się z prawdziwym twórcą ukazało reprezentującemu taką postawę *kim nadal był i miał zawsze być: przyzwoitym człowiekiem i wiecznym biernym świadkiem*¹⁰. To samo powiedzieć można o dzisiejszych uczonych, profesjonalistach i wielu, wielu innych.

W związku z nabożnym stosunkiem do nauki i ekspertów panuje także wśród ekologów mit, że kryzys ekologiczny i ochrona środowiska to sprawa fachowców i ekspertów – biologów, chemików czy urzędników. Dzisiejszy człowiek pokornie zgodził się na to, że nie może sam rozstrzygnąć, czy hałas za oknem szkodzi mu czy nie, czy jedzenie bez smaku smakuje mu czy nie, czy wdychanie tlenu węgla wychodzi mu na złe czy nie (kiedyś coś słyszał o zaccadzeniu, ale już tych rzeczy nie kojarzy), czy żywność sztuczna jest lepsza od prawdziwej czy nie, czy siedzący tryb życia i obżeranie się są szkodliwe dla zdrowia czy nie, czy spalanie milionów ton paliw w silnikach i elektrowniach ma wpływ na zmiany klimatyczne czy nie. Mam czasem wrażenie, że ostatni ludzie umierający w czasie np. lata, gdy temperatura sięgnie, dajmy na to, 70°C nie będą wiedzieli, czy im to szkodzi czy nie, dopóki naukowcy tego nie orzekną. Można nawet z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuścić, że koncerty produkujące np. urządzenia klimatyzacyjne wynajmą ekspertów, którzy przekonująco udowodnią, że taki klimat jest najlepszy. Nie ulega też wątpliwości, że w sytuacji całkowitego uzależnienia od maszyn, ludzie żyjący np. jedynie w zamkniętych pomieszczeniach osiągną nienotowany w dziejach standard życia, a wzrost gospodarczy nie będzie miał sobie równych. Leopold Tyrmand napisał kiedyś, że tylko dyletanci mogą ocalić ten świat. I tak zawsze było, jest i będzie. Fachowcy, eksperci mają tylko rozwiązywać konkretne problemy, wskazane przez mądrych i czujących ludzi, a jeżeli tego nie potrafią, to powinni zająć się czymś innym. Troska o środowisko nie może zależeć od zdania specjalistów, bo jest sprawą najbardziej podstawowego instynktu każdego normalnego

10 J. Fowles, *Hebanowa wieża*, Zysk i s-ka, Poznań 1994, s. 111-113.

człowieka, jakim jest wola życia i satysfakcja z tego, że świat pozostawiony dzieciom i wnukom bardziej przypomina życiodajny ogród niż asfaltową pustynię. Szacunek dla płuc, wzroku, słuchu, skóry i uczuć innych ludzi, który okazujemy np. poprzez rezygnację z używania samochodu, to objaw zwykłej delikatności w morzu zalewającego nas chamstwa i barbarzyństwa.

Emocje

Pewna dziennikarka, zwracając się do pewnego polityka stwierdziła, że któreś z jego wypowiedzi były emocjonalne. Bystry polityk wyczuł ironię i przekonująco udowodnił, że emocje to coś, co jest mu nie znane.

Historia autentyczna z III RP

Przy ludziach był zawsze sztywny jak kołek, taki miał sposób bycia (podziwiał Szwajcarów, a w szczególności mieszkańców Genewy, uważał ich manieri za wielkopańskie, bo drewniane).

Jean Paul Sartre, „Intymność”

Nie ma nic bardziej kojącego, bardziej sprzyjającego czystemu rozsądkowi niż atmosfera pieniądza.

Mario Puzo, Ojciec Chrzestny

Na pierwszy rzut oka cywilizacja zachodnia ma do emocji stosunek negatywny. Emocje to coś, czego polityk, czy szerzej, osoba poważna tak, jak w powyższym przykładzie, powinna się wstydić. Dzieci od młodości karane są za ich przejawianie, zarówno w domu, jak i w szkole. Chodzi bowiem o to, żeby przygotować je do roli pracownika, który całe życie spędza w pozycji siedzącej – albo przy komputerze, albo za kierownicą samochodu. Nie ma to jednak nic wspólnego z wyrabianiem hamulców moralnych. Lansowany dziś styl tak zwanej miłości pokazuje to dobitnie. Według tego, czego wielki prasowy biznes uczy czytelników „Playboya” i setek pism dla pań, panów, dziewcząt

i dzieci, sam seks jest w porządku, a o powrocie w tej dziedzinie, jak w każdej innej, decyduje technika i stan konta. Bardzo ważne jest natomiast, żeby się nie zakochiwać, to czyni człowieka nieprzewidywalnym i może on się wymknąć spod kontroli. Wydaje się więc, że wielcy tego świata wyciągnęli wnioski z buntu lat 60. (ci wielcy to często ówcześni kontestatorzy) i postanowili skanalizować to, czego wyeliminowanie okazało się niemożliwe. Skanalizować, czyli wziąć pod kontrolę. W ich świecie jest bowiem miejsce na wszystko i tak jak w *developed area* jest miejsce na trawnik, tak samo w dzisiejszej obyczajowości jest miejsce dla ujścia hormonów, tak samo jak miejsce na wysusianie się. W niedawno prezentowanym w polskiej telewizji tak zwanym filmie ekologicznym pewien „ekolog”, roztaczając wizję świetlanej przyszłości już po opanowaniu wszelkich zagrożeń ekologicznych stwierdził, opisując świat około roku 2050: *A przede wszystkim będzie to świat uporządkowany*. Chęć uporządkowania i kontrolowania wszystkiego na świecie, czyli światowy totalitaryzm jest odbiciem ogólnej tendencji do podporządkowania tego, co żywe temu, co martwe. To maszyny i włożony w nie kapitał wymagają, żeby obsługujący je ludzie zachowywali się w sposób mechaniczny, żeby w równych odstępach czasu naciskali odpowiedni guzik, dokonywali przeglądu technicznego, żeby maszyny i kapitał stale były w ruchu; wiadomo przecież, że pieniądź rodzi pieniądź. Jeżeli ludzie tego nie wytrzymają, to od czegoż przemysł farmaceutyczny z jego pigułkami szczęścia, w zanadrzu są jeszcze genetycy. Ta mechaniczność dotyczy nie tylko sposobu pracy i codziennego życia. Przede wszystkim dotyczy ona świata polityki i finansów. Jeżeli jakiś kraj ma zostać uszczęśliwiony napływem kapitału, wtedy najważniejsze jest, żeby panowała w nim stabilizacja polityczna i finansowa. W ostateczności od chaosu lepszy jest nawet zły dyktator, ale masowa demokracja słusznie uchodzi wśród międzynarodowej finansjery za ustrój najlepszy, bo najbardziej stabilny. Dyktator może bowiem np. oszaleć i przestać kraj „rozwijać” – słowem, jako jednostka jest nieprzewidywalny i trudniejszy do sterowania. Natomiast Pawlak może być zastąpiony tylko Suchocką, a Suchocka Pawlakiem. Jeżeli ta maszynka raz zaskoczy, to wydaje się, że nie ma już odwrotu. Zorganizowanie wyborczego *show* jest

tak kosztowne, że ktokolwiek chciałby w nim wziąć udział, musi uzyskać poparcie finansowe wielkiego biznesu, a ten jest zainteresowany stabilizacją i nikomu nieodpowiedzialnemu pieniędzy nie da. Podobnie jak otwarcie gazety, telewizji czy radia jest niemożliwe bez uzależnienia się od reklamodawców. Między biznesmenami jest, oczywiście, konkurencja, ale biada temu, kto chciałby ukrócić władzę samych biznesmenów. Władzę za którą, z racji jej niejawnego charakteru, nie ponoszą żadnej odpowiedzialności. Przesady dotyczące masowej demokracji są zresztą tak liczne, że wymagałyby oddzielnego opracowania. O ich sile świadczy fakt, że nawet autorzy, krytykujący mechanizmy w innych dziedzinach, nie dostrzegają, że najbardziej mechanicznym i schematycznym z systemów politycznych jest właśnie ten ubóstwiany ustrój, który szybko zmierza do sytuacji, gdy każdorazowa decyzja w każdej sprawie będzie podlegać tylko i wyłącznie kryterium ilościowo-większościowemu, a ludzie zostaną sprowadzeni do roli odważników, których ciężar zestandaryzowany i ujednolicony będzie ważony na centralnej, komputerowej wadze. Argumenty, prawda, sprawiedliwość w ogóle się w tym wszystkim nie liczą. W roku 1991 miałem okazję słyszeć, jak pewna Amerykanka – doradca jednej ze słowackich partii – jako dowód naszej środkowo-europejskiej niedojrzałości podawała fakt, że potrafimy zmienić zdanie po wysłuchaniu jednego przemówienia. Po co w takim razie są przemówienia – nie wyjaśniła, ale chyba nie należy ich brać poważnie. Natomiast wszystkim, którzy tak bardzo użalają się dziś nad losem Trzeciego Świata, poddaję pod rozagę słowa Pierre'a Leveque'a: *Co więcej, demokracja miała charakter imperialistyczny nie przez przypadek, ale ze swej istoty. Celem jej było przede wszystkim zapewnienie dostatecznego życia obywatelom, nawet tym najbardziej upośledzonym. Rozpowszechnienie się dobrobytu było możliwe jedynie dzięki polityce wielkich robót publicznych, subwencjonowanych przez napływ danin, dzięki poszukiwaniom nowych rynków zaopatrzenia, wiążącym się ściśle z rozszerzeniem granic arche (imperium)*¹¹. Te słowa dotyczą starożytnych Aten, ale kiedy mówi się o tym, że Trzeci Świat przejął dziś rolę

11 P. Leveque, *Świat grecki*, PWN, Warszawa 1973, s. 249.

proletariatu, śmietnika, niektórzy dodają: burdelu – to wydaje się, że słowa Leveque’a warte są przypomnienia.

Nie jest jednak prawdą, że zbiurokratyzowany system, z którym mamy do czynienia jest z zasady przeciwny wszystkim emocjom, czy że w ogóle zabrania je posiadać. Podobnie jak w przypadku pracy, chodzi tylko o niektóre, specyficznie pojęte emocje i uczucia. Artur Schopenhauer napisał, że: *Kto pragnie, by jego sąd znalazł wiarę, ten niech wygłasza go spokojnie i beznamiętnie. Albowiem wszelka porywczność wynika z woli, a więc woli, a nie wiedzy zimnej z natury przypiszą ów sąd*¹². Demokratyczni przedstawiciele wielkiego biznesu zdają się instynktownie rozumieć tę prawdę. Ale wynika to także z tego, że wola i emocje to my sami, rozumowanie to coś, co służy do realizacji celów, jakie sobie stawiamy. Są jednak emocje i uczucia, których głośno wyrażać nie wypada, wygodniej więc głosić, że to emocje jako takie są złe, skoro własnych trzeba się wstydzić. Opanowany minister finansów operujący tabelami wzrostu i liczbami, także ma emocje i do emocji się odwołuje. Są to emocje, jakie zawsze wzbudzała w ludziach mamona. Pokazując tabele wzrostu gospodarczego mówi: „będziecie bogaci”, tak samo jak reklama nowego kosmetyku mówi naprawdę: „będziesz piękna jak ta modelka”, tak samo jak pismo „Świat Nauki” mówi: „będziecie żyć wiecznie, tylko wydajcie jeszcze sto trylionów dolarów na naukę”. Jeżeli natomiast ktoś odwołuje się do poczucia sprawiedliwości jest populistą i demagogiem, jeżeli do poczucia piękna i dobra jest naiwnym romantykiem, który wierzy w sielskie obrazki, jeżeli mówi o zagrożeniach ekologicznych jest katastrofistą. Wszystko to oznacza, że jedyną wizją, do jakiej prowadzi chciwość i którą wolno posiadać, jest wizja makabryczna, wizja „rozwinętego terenu”. Chodzi tylko o to, aby podać ją w ładnym opakowaniu i ze spokojną twarzą, jak handlarz sprzedający przeterminowany towar.

12 A. Schopenhauer, *Aforyzmy o mądrości życia*, „Czytelnik”, Warszawa 1990, s. 176.

Rozwój ekonomiczny i racjonalny

Ale obserwując to świadome staczanie się w otchłań, musi się przyjąć do wniosku, że działają tu siły międzynarodowe, ponadludzkie, mimo że przez ludzi pozornie kierowane, które wymknęły się spod naszej kontroli i „hasają” po świecie jak krowy na wiośnię. Są to siły międzynarodowego kapitału, co był niegdyś organem i stworzył naszą obecną kulturę, a zmienił się z biegiem czasu w złośliwego nowotwora.¹³

Stanisław Ignacy Witkiewicz

Jest bowiem wiele rzeczy, które powinny się rozwijać, a wiele takich, które rozwijać się nie powinny.¹⁴

Ernst Friedrich Schumacher

Był więc Anthony Stracci, który kontrolował obszar New Jersey [...] i miał bardzo silne wpływy w aparacie politycznym demokratów. Posiadał cały park ciężarówek towarowych, które mu przynosiły fortunę, przede wszystkim dlatego, że mogły jeździć z dużym przeciążeniem, nie zatrzymywane i nie karane grzywną przez inspektorów obciążenia na szosach. Ciężarówki te przyczyniały się do niszczenia szos, po czym jego przedsiębiorstwo budowy dróg, mające zyskowne kontrakty z władzami stanowymi, naprawiało wyrządzone szkody. Był to ten rodzaj operacji, od którego każdemu robiło się ciepłej na sercu – interes sam przez się tworzący inny interes.

Mario Puzo, Ojciec Chrzestny

Odpowiedź na pytanie – po co pracować? jest prosta. Po to, by osiągnąć „dobrobyt”. A co to jest „dobrobyt”, to przecież wszyscy wiemy, my wszyscy dobrze myślący, a jeżeli ktoś pyta, to znaczy, że z nim coś nie tak. W skali kraju osiąga się „dobrobyt” poprzez tak zwany wzrost

13 St. I. Witkiewicz, *Niemyte dusze*, PIW, Warszawa 1993, s. 245.

14 E. F. Schumacher, *Małe jest piękne. Spojrzenie na gospodarkę świata z założeniem, że człowiek coś znaczy*, PIW, Warszawa 1981, s. 178.

gospodarczy. Ze względu na postępującą specjalizację mało kto wie, co naprawdę oznaczają cyfry, kryjące się pod tym pojęciem i jaki jest ich rzeczywisty wpływ na jakość naszego życia. Pewne światło na tę zależność rzuca fakt, że najwyższy wzrost gospodarczy rejestrują z reguły te rejony świata zachodniego, które zostały uprzednio dotknięte klęskami żywiołowymi albo zostały zniszczone przez wojnę, jak Niemcy i Japonia. Do usunięcia skutków katastrof konieczna jest bowiem większa aktywność sektora budowlanego, a ten określany jest w nowomowie jako „koło zamachowe gospodarki”. Mówiąc normalnie oznacza to, że jest jej najbardziej energo-, praco- i surowcochłonną gałęzią. Jeżeli dodać, że same klęski, jak np. powodzie też wywołane są przez aktywność producentów betonu, asfaltu i innych „dóbr” (pytanie za sto milionów: dlaczego asfalt jest dobrem, a nie złem?), wtedy okazuje się, że jest to ten sam mechanizm, swego czasu tak bezlitośnie wyśmiewany przez krytyków komunizmu, a dziś entuzjastów nowego sposobu produkcji. Kiedyś górnicy wydobywali węgiel, hutnicy dzięki niemu wytapiali stal na maszyny do wydobywania i transportowania węgla. Szkody górnicze powodowały niszczenie domów itd. itd. Oczywiście, spora część stali była zamieniana na broń, ale tym akurat oba systemy specjalnie się nie różniły. Zasadnicza różnica polegała jednak na tym, że w socjalizmie nie dbano o opakowania i paradoksalnie pewne produkty okazały się trwalsze i bardziej funkcjonalne niż dzisiejsze cacka. Od momentu, kiedy komuniści przestali wierzyć w dawne ideały i zaczęli rywalizować z Zachodem (stało się to w czasach Edwarda Gierka), koniec ustroju był przesądzony. Na to wszystko nałożyło się historycznie uwarunkowane zacofanie techniczne, które zmuszało do rezygnacji z konsumpcji, jeśli się chciało dorównać Zachodowi pod względem uzbrojenia. Znacznie mniejsza była też skuteczność propagandy. Trzeba zresztą przyznać, że trudniej jest zaszcześcić miłość do hut i kopalń, niż do mydełka „Fa” i pięknej kobiety je reklamującej. Również jawny terror był nieskuteczny, o ile nie było się zdecydowanym na tak całkowitą eksterminację, jakiej dokonano na nie rozumiejących dobrodziejstw innej cudownej doktryny mieszkańców dawnej, zielonej Ameryki. Co do reklamy, to stwierdzić należy, iż przy znacznie mniejszych możliwościach zaspokojenia

konsumpcji oraz braku gospodarczych kolonii, do których można by eksportować śmieci i brudne technologie, pewna siermiężność miała swoje uzasadnienie. Różnice w wymiarze krajobrazowym polegały na tym, że po komunizmie pozostały znacznie bardziej zdewastowane regiony przemysłowe (ale nie bardziej niż w kapitalizmie XIX-wiecznym czy XX-wiecznym w Trzecim Świecie), ale za to plaże nad Bałtykiem są w mniejszym stopniu „rozwinęte” i pokryte betonem, a w Bieszczadach nie ma autostrad. To stanie się teraz, żeby dać zarobić biznesmenom, stworzyć wyrzuconym ze swoich gospodarstw rolnikom nowe miejsca pracy w przydrożnych stacjach benzynowych, no i rozwinąć Polskę. Nie ulega wątpliwości, że dzięki tym rozwojowym procesom znakomicie poprawią się wszelkie wskaźniki dobrobytu i standardu życia. Wiadomo przecież, że chłopci urlopu nie mają, a pompiarze ze stacji paliw mają. Zwiększy się również liczba chorób zwanych (i tu język jest prawdziwy) cywilizacyjnymi. Ale przemysł chemiczny i jego produkująca leki część też muszą się rozwijać. Im większa ich produkcja, tym więcej miejsc pracy i tym większy dochód narodowy na głowę, tym wyższe koszty leczenia, czyli tym nowocześniejsza służba zdrowia.

Kolejną wspólną cechą obu ustrojów jest przekonanie o tym, że mieszkanie w mieście jest czymś lepszym od mieszkania na wsi. Komunizm mówił o awansie społecznym, nowa władza chce, żeby tak było po prostu dlatego, że tak jest na Zachodzie. Dyskryminacja wsi to jedna z najbardziej charakterystycznych cech rozwoju na miarę naszego wspaniałego świata. Rozwijający się przemysł i wielkie ośrodki miejskie nie płacą gospodarstwom wiejskim, gdzie w studniach zabrakło wody, a lasy, gleba i uprawy są niszczone przez kwaśne deszcze, metale ciężkie i promienie ultrafioletowe. Cały naród buduje metro dla swojej stolicy, ale mieszkańcy wsi nie mają telefonów, a drogę i wodociąg powinni zbudować sobie sami. Jednocześnie słychać narzekania na wzrost przestępczości i innych plag społecznych w wielkich miastach. Na walkę z nimi składają się, oczywiście, mieszkańcy wsi. To upośledzenie regionów wiejskich, charakterystyczne dla całego Trzeciego Świata ma być zrekompensowane poprzez ich uprzemysłowienie, czyli zamienienie drobnych, rodzinnych gospodarstw

w fabryki, używające dużej ilości maszyn i chemikaliów. Efekt takich działań w przodujących naszymu światu Stanach Zjednoczonych następująco opisał Benjamin Hoff: *I tak po dwóch czy trzech stuleciach wyciskania czego się da z tej niegdyś urodzajnej ziemi i po kilku dziesiątkach lat jeszcze szybszego niszczenia jej energii syntetycznymi stymulantami – mamy teraz jabłka, które smakują jak karton, pomarańcze, które smakują jak piłki do tenisa i gruszki, które smakują jak słodzony styropian*¹⁵. Ale jakość życia jest tam, oczywiście, bardzo wysoka. Kto by zajmował się jakością tak nieważnej czynności jak jedzenie, jak to zmierzyć? Ano, wystarczy zważyć i już można wykazać, że Amerykanin odżywia się najlepiej, bo je najwięcej. Czego? Kalorii, białka i czegoś tam jeszcze. Po co aż tyle i właśnie tego? Przecież wiadomo, że Amerykanie przodują. Mamy więc dziennik, w którym minister zdrowia wzywa do zdrowego trybu życia, a zaraz potem – w publicznej telewizji, chcąc usłyszeć prognozę pogody musimy obejrzeć przymusowo reklamę czipsów, batonów i nowej cudownej pasty do zębów, która pozwoli nam to wszystko pochłonąć bez szkód dla naszego uzębienia. W całym tym szaleństwie nikt nigdy nie przestrzega zasad tak zwanego wolnego rynku, który – podobnie jak wszystkie doktryny – istniał i istnieje tylko w głowach doktrynerów. Tlen, cisza, piękne widoki, prawo do oglądania lub nieoglądania tego, na co mamy lub nie mamy ochoty jest odbierane bez zapłaty i pod przymusem w imię rozwoju, postępu i wzrostu, a jednocześnie słychać gadanie, że wiek ideologii się skończył. W XIX wieku takie działania nie musiały wynikać ze złej woli, a raczej z braku wyobraźni takich myślicieli, jak Adam Smith, ale dziś trudno uwierzyć, że elity polityczno-gospodarcze nie dostrzegają tego bezprawia. Mamy raczej do czynienia z mieszkanką zaślepienia przez chciwość i myślenia w myśl zasady „Po nas choćby potop”, czasem w wersji – jakoś to będzie lub że – Bóg nas nie opuści. Na konferencji poświęconej celowym zmianom społecznym w Polsce (która odbyła się w grudniu 1993r. w Warszawie) profesor Andrzej Koźmiński – jeden z wykładowców prestiżowej szkoły biznesu – zapytany przeze mnie, czy wierzy w to, że

15 B. Hoff, *Tao Kubusia Puchatka*, Dom Wydawniczy „Rebis”, Poznań 1993, s. 84.

maszynka do ciągłego rozwoju będzie działać w nieskończoność, odpowiedział (cytując z pamięci): *Oczywiście, że nie, ale mam nadzieję, że za mojego życia to się jeszcze nie zawali, a wyznaję zasadę Ludwika XV.* Warto przy tym zaznaczyć, że profesor jest w sile wieku. Taki jawny cynizm wzbudził pewne ożywienie, a nawet oburzenie na sali, ale ja myślę o takiej szczerości z wdzięcznością, bo wiele mi to powiedziało o tym, dokąd zmierzamy i o co walczymy.

Umacnianiu mitu rozwoju gospodarczego służą jeszcze dwa inne słówka z obowiązującego *newspeake'u*. Są to racjonalność i ekonomiczność. Otóż w myśl obowiązującej wykładni wszystko, co przynosi zysk pieniężny jest ekonomiczne, a wszystko, co jest ekonomiczne, jest dobre. A ponieważ pewne dobra są dla ekonomistów darmowe lub w ogóle nie istnieją, bo nie dają się zmierzyć, więc ekonomiczne i dobre jest to, co za cenę tych darmowych, nie mieszczących się w ich główkach dóbr można wyprodukować. Jest to rodzaj nowoczesnej magii, kiedy to coś powstaje z niczego.

Tak zwana racjonalność – jedno z najbardziej nasyconych wartościowaniem pojęć – również służy otumanianiu społeczeństw. Dla normalnego człowieka racjonalne jest to, co prowadzi do celów, które on sam sobie wyznacza. W zachodniej cywilizacji za racjonalne uważa się tylko to, co służy rozwojowi gospodarczemu i przyczynia się do zwiększenia zysków i pomnożenia ilości posiadanych rzeczy. Racjonalne jest więc wyrzucanie jednych ludzi z pracy i zmuszanie innych, żeby pracowali po 12 godzin na dobę, wywłaszczanie z ziemi, wycięcie lasu, racjonalny jest wolny handel, który skazuje tysiące ludzi na śmierć z głodu po to, żeby ktoś zarobił na transporcie, a wielka korporacja lub właściciel monokultury stał się panem życia i śmierci robotników rolnych. Nieracjonalne jest natomiast dążenie do jakichkolwiek celów duchowych, do samodoskonalenia się, do upiększania świata czy po prostu do zachowania własnego zdrowia duchowego poprzez robienie czegoś ot tak, dla przyjemności. Dla ekonomicznych doktrynerów, dla owładniętych chciwością „ludzi interesu” oraz „ludzi pracy” wartość ma tylko to, co sztuczne, to co jest owocem pracy przez duże „P”, co można kupić lub sprzedać. Natomiast to, co naturalne jest nic nie warte i traktowane tylko jako surowiec, który trzeba

przerobić, teren, który trzeba rozwinąć, siła robocza, którą trzeba zatrudnić i „głowa mieszkańca”, na którą trzeba coś wyprodukować – czyli zasypać ją oraz całą przyrodę produktem *brutto* lub *netto*.

O tym, jak bardzo te wszystkie pojęcia zatruwają umysły, świadczy fakt, że nawet ekolodzy mówią o tak zwanym ekorozwoju, co ja osobiście tłumaczę jako ekologiczne niszczenie środowiska. Dochodzi tu też gierka ze słowami ‚wzrost’ i ‚rozwój’, w której złemu ‚wzrostowi’ przeciwstawia się rzekomo dobry ‚rozwój’, ale jeżeli przyjrzeć się tym wywodom bliżej, to okaże się, że różnicy nie ma żadnej.

Święte prawo własności

Pewien młody człowiek kupił sobie mieszkanie w bloku. Pewnej nocy urządził w nim huczną imprezę. Sąsiad przyszedł i prosił, żeby zachowywać się ciszej. Właściciel odpowiedział, że ponieważ mieszkanie kupił i jest ono jego prywatną własnością, to może w nim robić, co mu się podoba. Opowiadając mi o tej historii powiedział, że zastosował święte prawo własności.

Historia autentyczna z III RP

I dlatego oparcie się na własności, zawierające w sobie oparcie się na rządach, które własność ochraniają, jest brakiem opierania się na samym sobie. Ludzie tak długo patrzyli na rzeczy poza nimi będące, że doszli do szanowania religijnych, uczonych i obywatelskich instytucji jako osłon własności, i ganią ataki na nie, ponieważ odczuwają je jako ataki na własność. Mierzą wzajemny swój szacunek tym, co każdy posiada, a nie tym, czym każdy jest.¹⁶

Ralph Waldo Emerson

Oczywiście wiem, że na Zachodzie w sytuacji opisanej na wstępie policja wkracza szybko i bezwzględnie, a ludzie nie muszą drzeć przed

16 R. W. Emerson, *Szkice*, „Toporzeł”, Wrocław 1994, s. 84-85.

wesołym sąsiadem albo przed sąsiadem przedsiębiorczym, który pod domem zbuduje warsztat samochodowy i da miejsca pracy w sąsiednim ogrodzie. Sakralny stosunek do własności nigdzie chyba nie występuje tak silnie jak w Polsce, co nie znaczy, że swojej własności można być pewnym albo że łatwo jest odzyskać to, co kiedyś zrabowali komuniści. I właśnie w tym uświęceniu formuły widać jak w soczewce najbardziej charakterystyczny przejaw kryzysu współczesnej kultury.

Celem zdrowej cywilizacji jest zawsze pogodzenie dwóch celów. Jednym jest ukrócenie ludzkiego bestialstwa, drugim zapewnienie dlań ujścia w innej, cywilizowanej właśnie formie. Pierwsze to sprawiedliwość, drugie to wolność i kultura. Kultura jest tym, co ma zapewnić pożywkę wolności w taki sposób, by możliwa była sprawiedliwość. Tak zwana wolność negatywna bez kultury kończy się zawsze zduszeniem wszelkiej sprawiedliwości, oprócz tej opartej na prawie pięści. Czasem jednak utrzymują się siłą bezwładności zasady przyzwoitości z poprzedniej, kulturalnej epoki. Tak było w drugiej połowie XIX wieku na Zachodzie, tak po trosze działo się w Polsce międzywojennej. Na ogół są to najpiękniejsze epoki, a raczej okresy w dziejach ludzkości, okresy – dodać należy – przejściowe. Celem sprawiedliwości, która zawsze ucieka z obozu silniejszych i bogatszych jest wszędzie, gdzie ona istnieje, obrona słabszych i zapewnienie im ochrony przed tyranią silniejszych i posiadających. Prawa same w sobie nigdy nie są święte, one mają jedynie służyć tym świętym celom. Tam gdzie kultura skutecznie spełnia swoje zadanie, czyli umiejętnie absorbuje ludzką bestię przy realizacji szlachetniejszych celów, prawa spełniają tylko drugorzędną rolę. Cytowane: *Kochaj i rób co chcesz* doskonale ilustruje tę zależność. Gdzie umiera wyższa kultura, tam dochodzi do sakralizacji praw i biegłość w operowaniu prawniczymi formułami bierze górę nad sprawiedliwością, logika nad życiem, chamstwo i bezwzględne egzekwowanie „świętych praw” nad uprzejmością i szlachetnością wobec pokonanych. Jest tak dlatego, że o ile sprawiedliwość jest czymś stałym, to życie, a w konsekwencji i materialny wymiar sprawiedliwości są w ciągłym ruchu i żywa kultura stale dostosowuje prawa do sprawiedliwości; kiedy umiera, dzieje się na odwrót. Dżentelmena, który zawsze zachowywał się przyzwoicie, zastępuje

mały mieszczech, mający zawsze mnóstwo świętych praw dla usprawiedliwienia swego duchowego barbarzyństwa. Na tym polegała też różnica między Chrystusem a skorymi do kamienowania faryzeuszami. Wolny rynek, kapitalizm i wszelkiego rodzaju wspólnoty miały ludzki wymiar, dopóki nie zostały zamienione w święte doktryny, prawa i schematy. Także nauka rozwijała się ku ogólnemu pożytkowi, zanim nie została otoczona kultem, a uczeni nie stali się pysznymi kapłanami. Ktoś kto mówi, że prawo własności jest święte, nie tylko bluźni, ale mówi: nie wierzę w żadne ideały, boję się ludzkiej bestii i wierzę, że można ją stłumić tylko przy pomocy magicznych formuł, za którymi stoi siła. W naszych czasach, wobec kryzysu kultury taka postawa jest uzasadniona, ale biadanie przez tych samych ludzi nad upadkiem obyczajów jest dowodem niechęci do uznania prawdy, że zło, które się krytykuje ma swoje korzenie w uświęceniu tego co święte wcale nie jest, a świętość to coś, czego zadekretować się nie da, jeżeli samemu się w nią nie wierzy, a traktuje tylko jako element socjotechniki. Wtedy właśnie obrona *status quo* zamienia się w tępe pranie mózgow, czyniące z ludzi pracowite i chciwe owieczki, których bestialstwo absorbowane jest przez pracę, napędzaną chciwością. To ofiarą tego beznadziejnego rozwiązania jest dzika przyroda. Prawo własności staje się w takiej sytuacji przymusem posiadania i ze sprawiedliwością nie ma nic wspólnego. Traktowane jako święte, w oderwaniu od niej zmienia się w swoją karykaturę i prowadzi do sytuacji, w której o posiadaniu decyduje możliwość wynajęcia większej liczby ochroniarzy, lepszych dialektyków biegłych w prawie lub po prostu zakupienie sędziów i policji. Oczywiście, można twierdzić, że są to po prostu nowe ideały i nowa kultura, a socjalizacja zawsze miała miejsce. Trudno odmówić logiki takiej argumentacji, ale logika, jak zwykle, nie uwzględnia ludzkiej biologii, ludzkich instynktów, także ludzkiego poczucia i potrzeby sprawiedliwości, ludzkiego wreszcie przekonania o tym, co dobre i złe, tak samo jak „święte prawo własności” nie widzi różnicy pomiędzy posiadaniem – jak pisał Witkacy – domu z ogródkiem, kobiety i szczoteczki do zębów, a własnością np. fabryki czy dziesięciu kamienic. Prawo własności jest zresztą bodajże najmniej „świętym” – czyli takim, które wymaga ciągłego wysiłku

w znajdowaniu jego zgodnej ze sprawiedliwością formy, szczególnie dzisiaj, kiedy mamy do czynienia z tak gwałtownym przyrostem liczby ludności. Jeżeli dojdzie do tego, że w jego imię ludzie bogaci będą mogli sobie kupować powietrze i tlen, co zresztą już ma miejsce w postaci grodzienia brzegów jezior, budowania luksusowych hoteli na wydmach i rozprzestrzeniania się motoryzacji, to wymaganie od duszącego się spalinami biedaka, żeby respektował „święte” prawo własności będzie wymagało terroru typu Orwell albo – co ma miejsce w praktyce – systemu typu Huxley, gdzie wszystko jest możliwe dzięki manipulacjom genetycznym, hipnozie i środkom farmakologicznym. Jeżeli jest to kultura, to jest to kultura zdegenerowana, bo nie umie współżyć i wykorzystać ludzkiej bestii, a tylko ją niszczyć. Niszczyć tak, jak niszczy „nieekonomiczną” dziką przyrodę i najbardziej odporne na oswojenie zwierzęta. Dochodzi tu wręcz do selekcji negatywnej, kiedy ludzie o najsilniejszych uczuciach, największej wrażliwości i możliwościach twórczych są eliminowani jako nie nadający się do życia w pracokonsumenckich kolektywach. Bo tak, jak zaspokojenie współczesnego obżarstwa porzebuje nafaszerowanych antybiotykami i hormonami brojlerów, tak samo gospodarka napędzana filozofią rozwoju i wzrostu potrzebuje wykastrowanych istot, zdolnych spędzić całe życie w zamkniętych pomieszczeniach i wykonujących bezsensowne zajęcia, a odpoczywających w smrodzie i huku zwyrodniałej rozrywki w podziemiach wielkomiejskich molochów.

Narkotyki

Przemieszczanie się samochodem pokochałam w Ameryce, gdzie zdarzało mi się robić za jednym zamachem 900 mil. To pożeranie przestrzeni musi mieć w sobie coś z narkotyku, inaczej bowiem trudno byłoby wyjaśnić, czemu tylu ludzi przedkłada samochód nad wygodną podróż pociągiem. Ale rzecz odnosi się, oczywiście, tylko do autostrad, z podróżowania po naszych wąziutkich i zatłoczonych drogach trudno czerpać jakąś przyjemność. (...) Bo tak naprawdę sieć autostrad to świat

sam w sobie i można przejechać kontynent nie zjeżdżając z szosy. Przy autostradzie bowiem jest wszystko. Można zrobić zakupy, przespać się, zjeść, zatelefonować. W specjalnych zajazdach dla kierowców ciężarówek (truck shop) wachlarz usług jest jeszcze szerszy (prysznic, pranie, pedikir, ekspresowa przesyłka pieniędzy, filmy video), zaznaczono nawet, gdzie należy się zatrzymywać na poboczu, żeby podziwiać widoki (...) Tak naprawdę więc to tylko kwestia czasu, kiedy nacisnąwszy dobrze pedał gazu pierwszy przystanek zrobimy np. w Kijowie, a potem pomkniemy w kierunku Władywostoku. Czekam na ten moment.¹⁷

**Joanna Szczęsna,
redaktorka „Gazety Wyborczej”**

Tej nocy spali w Santa Fe. Hotel był znakomity – nieporównanie lepszy niż na przykład ten straszny Pałac Bory Polarnej, w którym Lenina tyle się wycierpiała poprzedniego lata. W każdym pokoju skroplone powietrze, telewizja, aparaty do masażu, radio, gotujący się roztwór kofeiny, gorące środki antykoncepcyjne i osiem różnych rodzajów perfum. Rośliny muzyczne w hallu wydzielały muzykę syntetyczną, niczego już do szczęścia nie brakowało. Wywieszona w windzie informacja podawała, że hotel dysponuje sześćdziesięcioma kortami do tenisa przesuwanego i że w parku można grać w golfa z przeszkodami i w golfa elektromagnetycznego.

– Nie, to wszystko jest zbyt piękne – wołała Lenina. – Wręcz chciałabym tu zostać dłużej. Sześćdziesiąt kortów do tenisa przesuwanego!¹⁸

Aldous Huxley, „Nowy wspaniały świat”

Humanisci narzekają czasem, że nawet jeżeli coś dobrze przewidzą, to i tak bardzo trudno jest zweryfikować prawdziwość ich tez. Postać Joanny Szczęsnej, redaktorki największego dziennika w Polsce pozwala mieć nadzieję, że w tej dziedzinie, mówiąc językiem jej gazety – „coś pękło, coś się skończyło”.

¹⁷ „Gazeta Wyborcza”, 5.08.1994.

¹⁸ A. Huxley, *Nowy wspaniały świat*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988, s. 106.

Narkotyki lub środki odurzające przenoszą nas w świat nierzezywisty. Ich dodatkową wadą jest, że człowiek bardzo się do nich przyzwyczaja, a po pewnym czasie żyć bez nich nie może; z drugiej strony na skutek ich używania jego życie może ulec skróceniu. We współczesnym języku narkotyki to coś złego i na walkę z narkomanią przeznaczają się ogromne sumy, z mizernym rezultatem. Podobnie jak w przypadku innych analizowanych tu przykładów współczesnej nowomowy, została tu dokonana manipulacja. Negatywne zabarwienie, jak i całą nazwę zarezerwowano tylko dla bardzo wąskiej grupy środków, choć kryteria te stosują się do o wiele szerszej klasy rzeczy i zjawisk. Sprawę tę fachowo i przy tym jasno wyraził Marek Głogoczowski w swoim znakomitym *Etosie bezmyślności*¹⁹. Wynika stamtąd, że każda potrzeba raz zaspokojona wzmacnia potrzebę powtarzania danego doznania, ale organizm domaga się bodźca o coraz większym natężeniu. Wynika z tego również, że natężenie cech negatywnych nie musi być największe w narkotykach, rozumianych policyjnie, a sama definicja wcale nie wyklucza sytuacji, w której szeroko rozumiany narkotyk może mieć skutki bardzo pozytywne. Pogardliwie traktowane przez Marksa tzw. „opium dla ludu” owocowało czasem bardzo szlachetnymi czynami. A jego największym plusem było, że skutecznie odwracało ludzką uwagę od spraw materialnych i gromadzenia „dóbr” na rzecz doskonałości duchowej i tak chciwa bestia zamieniała się czasem w świętego, a niejako mimochodem żyło się wśród pierwszych chrześcijan całkiem przyjemnie. Obecne zawężone stosowanie definicji narkotyków oraz jej jednoznacznie negatywna konotacja wynika z tego, że są one zagrożeniem dla narkotyków oficjalnych, a jednocześnie obnażają w sposób najbardziej namacalny prawdę, że nasz nowy wspaniały świat nie jest taki wspaniały, skoro coraz więcej ludzi decyduje się na utratę zdrowia i życia, byleby tylko od rzeczywistości uciec.

Oczywiście, podobnie jak w przypadku pracy, można być oskarżonym o budowanie definicji, które faktycznie obejmują całą

19 M. Głogoczowski, *Etos bezmyślności*, „Lewiatan”, rozdz. Wykład na temat rozwoju potrzeb, także w „*Twórczość*”, 2/1983, Warszawa.

rzeczywistość i tak, jak każda ludzka potrzeba, łącznie z jedzeniem i pićm może być nazwana lub stać się narkotyczną, tak samo dowolnie wybrana aktywność – pracą. W tym miejscu pojawia się jasno jeden z zasadniczych punktów tych rozważań, ten mianowicie, że cały język jest przesycony wartościowaniem oraz że każde zjawisko i takie lub inne jego nazwanie może być elementem ideologicznego sporu i ideologicznej indoktrynacji. Ciągły wysiłek sprawdzania znaczeń ma nas uchronić przed manipulacją przez naszych przeciwników, a jeżeli chcemy prowadzić walkę, to musimy walczyć o to, co jest w naszym rozumieniu uprawdliwieniem nazw. Choć nowomowa uchodzi za wynalazek naszych czasów i pisze się na jej temat wiele bełkotliwych książek, to wiedzieli już o tym starożytni.

Gdybym twierdził, że podam teraz kryteria obiektywne i udowodnię, że to, co uprawia pani Szczęsna jest złe, a np. oddawanie się medytacji dobre, to oznaczałoby to zapowiedź wyskoczenia z własnego cienia. Tego, że coś jest dobre lub złe nie da się udowodnić przy pomocy dźwięków czy słów. Upadek wiary, mimo wspaniałych intelektualnych osiągnięć teologii jest tego przykładem. Można oczywiście milczeć i poprzestać na stwierdzeniu, że gustów się nie dyskutuje. Ale dyskusja jest właśnie tym, co ma gusta obnażyć. Kiedy przebrniemy przez gąszcz znaczeń i uzgodnimy definicje, to wtedy po prostu okaże się, czy nasze gusta są takie same, czy różne. Dochodzi w tym miejscu sprawa wewnętrznej szczerości, psychoanalizy, a także trywialna i często przykra kwestia intelektualnych możliwości i indywidualnej wrażliwości. Ale po ustaleniu tego wszystkiego trzeba zdecydować, czy jest o czym rozmawiać, czy też – używając znowu terminologii Witkacego – duszyczka umyć się nie chce. Umyć się nie chce, czyli że to, co jest brudem i złym narkotykiem w moim rozumieniu, dla niej jest fajnym pożeraniem przestrzeni i że jest tym zanarkotyzowana tak mocno, że ratunku już nie ma, bo tak bardzo jej się to podoba. Wtedy – by użyć słów Ortegi y Gasset – gwałt staje się *ultima ratio*, bo – jak pisał – *dość głupio zwykło się ujmować to powiedzenie jako ironiczne, choć oddaje ono dobrze myśl o pierwotnym*

*podporządkowaniu normom racjonalnym i jest wyrazem najwyższego hołdu dla rozumu i sprawiedliwości*²⁰. W filmie pt. *Generał Custer* jest scena, w której Szalony Koń pyta o możliwość porozumienia, a generał odpowiada, że prawda jest taka, że należą do innych światów i tak jak kiedyś plemię wodza zniszczyło inne plemię, zajmujące te ziemie, tak samo teraz biali zniszczą Indian. I o dziwo, w oczach Indianina pojawiło się coś jakby szacunek dla Amerykanina. Później, kiedy Custer był już otoczony, obaj rozmawiali i stwierdzili, że jest piękny dzień na walkę i znowu nie było w tym nienawiści, raczej wzajemny szacunek dwóch wojowników, z których jednemu zdarzyło się wpaść w śmiertelną pułapkę. Nie było nienawiści, bo największą wściekłość zawsze wywołują wyrazy miłości w ustach naszego wroga, wie o tym każdy doświadczony polemista. I tak się jakoś składa, że od czasów, kiedy zaczęto światu głosić wolność, równość i braterstwo i wszyscy twierdzą, że chcą uszczęśliwić innych ilością mordów, ich bezwzględność i masowość wcale nie maleją.

Muszę przyznać, że w czasach mojej ekologicznie nieświadomej młodości bardzo dużo jeździłem samochodem i do dzisiaj prowadzenie sprawia mi przyjemność. Chociaż nawet wtedy starannie omijałem autostrady i podróżując np. po Francji wybierałem zawsze małe, wijące się i wąskie drogi. Z czasem, wraz z rozwojem motoryzacji zaczęły mnie denerwować samochody przejeżdżające pod moimi oknami i żółta ciecz zamiast deszczu, przeczytałem też o innych zabójczych skutkach tej maszyny dla ludzkiego zdrowia i całej cywilizacji (ostatnio dowiedziałem się, że J.R.R.Tolkien, będąc już bogatym człowiekiem wyrzekł się tego oraz paru innych „dóbr”). I jakoś tak bardzo zafascynowała mnie wizja świata, a przede wszystkim ulicy, na której mieszkam, z trawnikiem zamiast asfaltu, że jeżdżenie samochodem zaczęło mi sprawiać przyjemność nieco mniejszą. Przypomniałem też sobie, że kiedyś wyrastałem na ulicy, gdzie samochód był rzadkością i pomimo nierównej nawierzchni można było przed domem grać w piłkę. Ani ja i moi koledzy, ani nasi rodzice nie byli z tego powodu nieszczęśliwi i mniej rozwinięci. W piłkę grało się o wiele więcej, a moi sąsiedzi, którym czasem nasza gra przeszkadzała, mają dziś pod oknami asfalt, kilka warsztatów samochodowych i ciągły warkot

silników. Wtedy mogli na nas pokrzyczeć, gdy piłka wpadała do ogrodu, dzisiaj żadne protesty nie pomagają. Z czasem odkryłem też prawdę, że jak w przypadku większości współczesnych gadżetów faktycznie kosztują one mnóstwo pieniędzy i wcale nie oszczędzają czasu (i tak nie można go złożyć do banku), a za pieniądze zaoszczędzone na mechanikach, ubezpieczeniach, benzynie, a przede wszystkim na samym samochodzie można pożerać przestrzeń pociągiem, a w nagłej potrzebie nawet taksówką. Oczywiście wiem, że wspomniany już Tolkien był przejęty rozpaczą, kiedy patrzył na kolej, przecinającą jego ulubione zakątki, ale powiedzmy, że do pewnego stopnia jestem tu konformistą. Poza tym, kolej – choć też jest „światem samym w sobie” – daje o wiele więcej możliwości ciekawego spędzenia czasu, niż monotonne pędzenie autostradą. Zauważyłem też, że przynajmniej w Polsce, ogólne zdziczenie ludzi staje się zdziczeniem do kwadratu, kiedy ci ludzie znajdują się za kierownicą samochodu. Najbardziej jednak lubię pożerać przestrzeń na rowerze, polnymi drogami. Wolniej, ale za to przyjemność trwa dłużej, czyli jest wyrafinowana. Można zatrzymać się, gdzie się chce i np. pogapić na bociana, który się przechadza po łące i po prostu dumać jak to jest, że to stworzenie na najbliższą zimę polecą sobie do Sudanu, a jak mu się tam nie spodoba, to do Południowej Afryki – i co ono wtedy czuje? Takie dumanie to znakomity narkotyk, w dodatku nigdy się nie wyczerpuje, bo to tajemnice niezgłębione. Ja ten narkotyk wolę, ale wpływ na to mają także wiedza i zdolności kojarzenia, i tak intelekt splata się z emocjami, nieobiektywne gusta z faktami. Jeśli pani S. o tym wszystkim wie, a myślę, że jako osoba bywała w świecie wie, a mimo wszystko nadal lansuje budowę autostrad, to znaczy, że po prostu ma inne gusta i że stoimy po przeciwnych stronach barykady. Moja motywacja w tym konflikcie jest krańcowo egoistyczna, ja po prostu nie lubię, jak mi ktoś zabiera ładne widoki, ciszę, zdrowie i bociana, bo tym wszystkim narkotyzuję się ile tylko mogę. A jeżeli ktoś zalewa mi asfaltem to, czego potrzebuję do życia jak narkotyku, to atakuje mnie samego i moje przyjemności, a ja jestem niepoprawnym hedonistą i jest to dla mnie sto razy ważniejsze niż miłość do matki Ziemi i wszystkich istot, bo istot w rodzaju pani S. szczerze nie znoszę.

Twierdę również, że moje narkotyki mają to do siebie, że w odróżnieniu od tego, czym uracza się pani S. nie przeszkadzają innym. Twierdę też, że wielu z tych narkomanów, nad którymi GW tak obłudnie się użala, bierze prochy także dlatego, że na tym świecie autostrad jest coraz więcej i innych tego rodzaju „światów samych w sobie” też. Dostrzegam także związek pomiędzy tym, że GW bierze grubą forszę za ich reklamę i że za tę forszę postępowy katolik albo jakiś „Europejczyk” może potem wyrazić swój ból i zaniepokojenie wzrostem społecznej patologii. To bardzo wygodne – brać pieniądze za coś, za co programowo „redakcja nie bierze odpowiedzialności” i zarabiać biadoleniem nad skutkami tego, na czym się zarabia. Można także za pieniądze budowniczych autostrad zorganizować głośną akcję dla ratowania pieska Azorka i konika Garbuska, wystarczy zatrudnić odpowiednio infantylne panienki, które odwracają oczka od krwawych placków pod kołami samochodów.

Twierdę też, że narkotyki reklamowane przez GW są beznadziejnie słabe i tandetne. Pani S. wkrótce się znudzą i zapragnie posiadać helikopter albo raketę, ale nie wierzę, żeby to pozwoliło jej uciec od samej siebie. Kłopot pani S. i ludzi jej pokroju opisał cytowany już Schopenhauer, kiedy definiował pojęcie filistra słowami: *Jest to człowiek, który zajęty jest najpoważniej w świecie rzeczywistością, która wcale rzeczywistością nie jest. Jest to człowiek bez potrzeb duchowych (...) Prawdziwymi rozkoszami są dla niego tylko rozkosze zmysłowe (...) Całe szczęście, jeśli mu to przysparza dużo wysiłku. Jeśli bowiem od początku posiada te dobra, wówczas niechybnie padnie pastwą nudy, aby ją odpędzić wymyśla się teraz wszystko, co możliwe: bale, teatry, towarzystwo, grę w karty, hazard, wyścigi, kobiety, pijatyki, podróże (to przynajmniej były czasy! – O.S.) (...) Wszystko wynika jednak z tego, że jest człowiekiem bez potrzeb duchowych. Źródłem bezmiernych cierpień filistra jest okoliczność, że Byty Idealne nie dostarczają mu żadnej rozrywki, lecz potrzeba mu stale realiów, aby ująć przed nudą. Realia zaś szybko się wyczerpują, a wówczas zamiast bawić – męczą bądź ściągają wszelkiego rodzaju nieszczęścia, gdy tymczasem byty idealne*

są niewyczerpane i z natury swej niewinne i nieszkodliwe²¹. Było to pisane ponad sto lat temu, ale znakomicie ujmuje chorobę czasów nam współczesnych i pokazuje, dlaczego współczesny człowiek tak zachłannie połyka heroinę, haszysz oraz coraz mocniejsze dawki emocji, jakich dostarczają produkowane masowo zabawki. Jest nią kryzys duchowości i triumf materializmu. Ludzka bestia nie znajduje dziś innego sposobu na zużycie swej energii niż pogrążenie się w świecie „narkotyków materialnych”. Schopenhauer twierdził, że wrodzonego charakteru nic nie zmieni, ale nie ulega wątpliwości, że cała dzisiejsza edukacja nastawiona jest na rozbudzenie u młodych i starych żądzy posiadania coraz to nowych cudów techniki i przeżywania emocji, które wywołują. Narkotyki policyjne są tylko ich odmianą, która ma pomóc na uwiad wyobraźni, tak jak samochód pomaga na uwiad kończyn dolnych. Pewnym wyjątkiem jest sport, ale i on stał się wynaturzony, wraz z szerzeniem się zawodowstwa; wiele jego gałęzi zmienia się w przemysł, gdzie gros czasu zużywa się na zdobycie pieniędzy na zakup sprzętu, a tzw. infrastruktura pozbawia go cech naturalności. Zresztą, coraz rzadziej chodzi w nim o przyjemność czerpaną z doskonalenia swojego ciała czy z walki *fair*, a coraz częściej o doznania w rodzaju rekordów szybkości czy zawrotu głowy.

2 | CZAS, ZDROWIE, ŚMIERĆ

Indianin był na tyle dziki i na tyle głupi, że kompletnie nie mógł zrozumieć atrybutów cywilizacji, wdzierającej się na jego kontynent. Nie mógł zrozumieć, dlaczego „blade twarze” wciąż się spieszą i pędzą na złamanie karku, jakby gonila je śmierć. Dlaczego pracują od świtu do nocy tak ciężko, że pod koniec roboty nie pamiętają już swego imienia. Dlaczego ciułają kolorowe papierki i niczego nie chcą ofiarować nawet swym braciom, jeśli ci nie dadzą im tych papierków. Dlaczego wojna, która powinna być polem honoru i męstwa, jest u białych śmietnikiem zdrady i barbarzyństwa. (...) Jaki jest cel tego szaleństwa?²²

Waldemar Łysiak

Nadmiernym wysiłkiem zdobywają sobie czas wolny i nie potrafią potem zrobić z nim nic innego, niż liczyć godziny, dopóki ten czas nie upłynie.²³

Fryderyk Nietzsche

22 W. Łysiak, *Asfaltowy Saloon*, „Polonia”, Warszawa 1986, s. 48.

23 F. Nietzsche, op. cit., s. 197.

Medycyna może dziś leczyć albo bardzo drogo, albo tak jak w średnio-wieczu.

Lekarz kwestujący na rzecz jakiejś fundacji w III RP

Czas to pieniądź.

Popularne powiedzenie ludzi interesu

Nie czas jeszcze powracać do jasnych i pewnych zasad religii oraz do tradycyjnych cnót, według których skąpstwo jest godne potępienia, lichwa jest grzechem, a miłość pieniądza czymś obrzydliwym. Jeszcze przez co najmniej sto lat musimy udawać przed sobą i przed innymi, że uczciwość jest podła, a podłość uczciwa, ponieważ podłość popłaca, a uczciwość nie. Skąpstwo, lichwa i nieufność muszą pozostać naszymi bóstwami jeszcze przez jakiś czas.²⁴

J.M.Keynes

Gdyby takie urzędnienia oszczędzające czas naprawdę go oszczędzały, to powinniśmy mieć znacznie więcej czasu niż kiedykolwiek w historii. Tymczasem wydaje się, że mamy go jeszcze mniej niż kilka lat temu. Naprawdę przyjemnie jest pojechać gdzieś, gdzie nie ma urzędzeń oszczędzających czas, bo wtedy okazuje się, że mamy naprawdę dużo czasu. Podczas gdy gdzie indziej musisz się bardzo starać, aby móc zapłacić za te wszystkie maszyny, mające zaoszczędzić twój czas, tam nie musisz tak ciężko pracować.²⁵

Benjamin Hoff

Pewnemu zamożnemu człowiekowi dobrze obrodziło pole (...) i rzekł: Tak zrobię: zburzę swoje spichrze, a pobuduję większe i tam zgromadzę całe zboże i moje dobra i powiem sobie: Masz wielkie zasoby dóbr, na długie lata złożone, odpoczywaj, jedz, pij i używaj. Lecz Bóg rzekł do niego: Szaleńcze! Jeszcze tej nocy zażądamy twojej duszy od ciebie, komu więc przypadnie to, coś przygotował?

Łk 12, 16-20

²⁴ E. F. Schumacher, op. cit., s. 116.

²⁵ B. Hoff, op. cit, s. 89.

Dzisiejszy człowiek żyje dla przyszłości. Komuniści wierzyli w budowę raju na ziemi i w jego imię tworzyli na niej piekło, pracownicy protestanci wierzą w raj po śmierci dla bogatych i pracowitych i w jego imię dokonali ludobójstwa Indian. Cel naszej cywilizacji? Dorobić się, by potem nic nie robić, być złodziejem, by potem pozwolić sobie na uczciwość i przestrzeganie świętego prawa własności. Tak można by wyjaśnić „dzikiemu”, o co w tym wszystkim chodzi. Niektórzy wierzą jeszcze, że po tak zmarnowanym życiu wystarczy zdążyć się wypowiedać albo uzyskać ostatnie namaszczenie, aby się zbawić. Co za spryt.

Taki stosunek do czasu oznacza szczytową formę alienacji, można wręcz mówić o wyobcowaniu z teraźniejszości, czyli z otaczającego nas świata. To nieważne, że jest coraz więcej spalin i hałasu, że coraz więcej ludzi jest inwalidami od młodości, że do rzeki w sąsiedztwie nie można włożyć ręki – to wszystko nieważne. Jak tylko się rozwiniemy i będziemy bogaci, to zapłacimy fachowcom, żeby te niedogodności usunęli, zapłacimy też policji, żeby broniła nas przed własnymi dziećmi. Współczesna władza marzy o tak rozumujących poddanych, rządzący mediami biznes skutecznie kreuje takie podejście do życia. Czas to pieniądź, a więc życie to pieniądź. Można je złożyć do banku i kiedyś odebrać z odsetkami. Ale w tej grze ktoś, kto tak myśli jest z góry przegrany. Biologia spleta się tu z etyką i koszmarny wygląd 80-letnich podlotków po tysiącu operacji plastycznych odpowiada naiwnej wierze w to, że można odkupić własne sumienie, własną młodość, wierność własnym ideałom i samemu sobie. Jest to niemożliwe i czas odpowie nam tak, jak odpowiedział tytułowy bohater opowiadania Trumana Capote’a, pan Bida, kiedy ktoś chciał odkupić od niego swoje sny: zużyłem je. I wtedy pozostaje już tylko rozpaczliwa walka o przedłużenie egzystencji – ostateczny triumf ilości nad jakością. Świadectwo zmarnowanego życia.

O ile takie traktowanie czasu oznacza wyobcowanie z otaczającego świata, to współczesne podejście do zdrowia świadczy o utracie kontaktu z własnym ciałem. Zachodzi w tym wypadku zjawisko podobne jak w wypadku nauki. Z jednej strony spotyka się ludzi otaczających zdrowie kultem i spędzających życie na dbaniu o nie, z drugiej wielu traktuje je tak, jak traktują myślenie ci, co przyłapali naukowców

na błędach, czyli w ogóle o nie nie dba. Jest to znakomita klientela dla producentów różnych cudownych leków, witamin, kosmetyków, a także dla firm ubezpieczeniowych z współczesnym mafijnym państwem na czele. Własne ciało jest dla człowieka czymś tak samo obcym, jak samodzielne myślenie. Zamiast świadomego wysiłku wczucia się we własną fizyczność i biologię woli albo zaufać specjalistom, albo w ogóle nie dostrzegać zagrożenia.

Słowem, które skutecznie wspiera kult przyszłości jest optymizm, który nie wiedzieć czemu uznany jest za coś dobrego, w przeciwieństwie do rzekomo złego pesymizmu, podczas gdy oba są po prostu zaprzeczeniem realizmu i trzeźwego spojrzenia na rzeczywistość. Ten kult optymizmu zdradza inną prawdę, tę mianowicie, że współczesny człowiek o przyszłości nie myśli, on tylko żywi na jej temat mnóstwo iluzji. Otóż współczesny człowiek, podobnie jak ewangeliczny szaleniec nie bierze pod uwagę jednego faktu, tego mianowicie, że kiedyś umrze. Cały optymizm i zorientowana na przyszłość filozofia życia ma go przed tym przykrym faktem zabezpieczyć, a raczej jest to konstrukcja, mająca zabezpieczyć przed tym jego świadomość. Skoro przybiera ona tak gigantyczne rozmiary, jak optymizm „na miarę XXI wieku”, to znaczy, że równie wielki jest lęk przed przyszłością. Bo przyszłość, czyli potop, o którym mówił tak szczerze profesor Koźmiński, jest przyszłością każdego człowieka i wiążący się z nią fakt indywidualnej śmierci jest dla każdego najbardziej tragiczny. Ale tragicizm to rzecz niemodna, w przeciwieństwie do optymizmu i nadziei. W tym, że tyle się mówi o zagrożeniu Ziemi, a tak mało o zagrożeniu człowieka i o śmierci w ogóle, też widzę odbicie tej tendencji.

Starożytni szukali pomocy w obliczu śmierci w filozofii, potem przyszło chrześcijaństwo. Dzisiejszy człowiek szuka jej tam, gdzie umieścił wszelkie swoje marzenia. Dzisiejszy człowiek wierzy, że dodatkowy bilion dolarów, włożony w naukę uczyni go nieśmiertelnym. Osobliwym potwierdzeniem słuszności tej wiary ma być mierzenie poziomu opieki zdrowotnej ilością dolarów, przeznaczonych na nią w przeliczeniu na głowę obywatela. Nigdy nie mierzy się go natomiast według stanu zdrowia społeczeństwa czy np. prowadzących różny tryb życia jego odłamów, czy wreszcie poprzez stosunek nakładów

do rezultatów. Nasze „elity” z zachwytem poinformowały ostatnio, że koszty opieki medycznej w Europie Zachodniej wzrosły w ostatnich 20 latach **DZIESIĘCIOKROTNIE** (podkr. O.S.)²⁶. Dzieje się tak dlatego, że gdyby takich obliczeń dokonano, to wyszłoby na jaw, że ludzie żyją dłużej, a przede wszystkim zdrowiej tam, gdzie jeszcze nie dotarła zachodnia cywilizacja ze swoją drogą medycyną. Bo prawda jest taka, że najbardziej spektakularne sukcesy w przedłużaniu średniej długości życia wynikają nie z milionów dolarów przeznaczonych na naukę, ale z prostego i dlatego genialnego skojarzenia, że brud przy porodzie łączy się ze śmiertelnością matek i niemowląt, a brud i brak higieny w ogóle mają wpływ na rozwój chorób zakaźnych. Również najbardziej realny sukces medycyny w USA wynika z zauważenia faktu, że obżeranie się pewnymi produktami powoduje zapadanie na niektóre choroby. Ale takich odkryć jest coraz mniej, a jeśli nawet są, to i tak zginą w ogólnym szumie propagandy. Poza tym lekarze muszą mieć miejsca pracy, a przemysł farmaceutyczny musi się rozwijać.

Panika w obliczu śmierci zawsze łączy się z lękiem przed życiem. Paradoks jest tylko pozorny, gdyż zarówno życie, jak i śmierć są tylko częścią większej jedności. I to właśnie wyrazem tej paniki jest powodzenie wizji *developed area*. Bo cały jej urok polega na tym, że daje ona złudne poczucie bezpieczeństwa. Wszystko jest tam pod kontrolą, a jak zachorujemy, to zapłacimy za podłączenie do bardzo drogiej maszyny, której posiadanie zabezpieczy nam święte prawo własności. I tak zabezpieczeni będziemy trwać. Jest taka, bodajże biblijna opowieść o człowieku, który w obawie przed śmiercią gnał przed siebie przez trzy dni bez wytchnienia. Tam dokąd przybył, czekał na niego anioł śmierci ze słowami: Kiedy kazano mi na ciebie czekać w tym miejscu nie wierzyłem, że możesz w ciągu trzech dni przebyć tak daleką drogę. I to też jest odpowiedź na pytanie Indianina, dokąd „blade twarze” tak bardzo się spieszą. Być może ten sam anioł powie ludziom XXI wieku: nie wierzyłem, że potraficie uśmiercić się – rozwinąć tak szybko. Paniczny lęk i będący jego odbiciem naiwny optymizm zawsze są złymi doradcami. Życie w *developed area* skraca naszą egzystencję

26 „Gazeta Wyborcza”, 17-18.12.1994.

także z biologicznego punktu widzenia, a z każdego innego czyni ludzi martwymi z chwilą, gdy w takie rozwiązanie uwierzą, bo: *Kto stara się zachować swoje życie, straci je*. Wszystko to nie znaczy, że trzeba śmierć lekceważyć. Przeciwnie, i dlatego zacytuję w tym miejscu Aleksandra Zinowiewa: *chcesz żyć, gotuj się na śmierć. Gotowość człowieka na godne powitanie śmierci, a pokora przed obliczem śmierci to dwie różne rzeczy. W pierwszym wypadku człowiek walczy do ostatniego momentu, w drugim wpada w panikę i kapituluje (...) Toteż przyznawszy śmierci sprawiedliwość i wypracowawszy w sobie gotowość do wyzinięcia ducha, powiedz sobie na zakończenie owo wspaniałe, życiodajne „ale”! Powiedz sobie po rosyjsku: „Jak ginąć, to z muzyką” i bij się o życie! Nie prosź, nie błagaj, a bij się!*²⁷

27 A. Zinowiew, *Homo sovieticus*, „Polonia”, Londyn 1984, s. 171.

3

WOLNOŚĆ, SAMOTNOŚĆ, SZCZĘŚCIE

Świat nie stawia już dzisiaj przed człowiekiem niemal żadnych przeszkód, nie buduje ich religia, prawo, konwenanse. Człowiek współczesny musi szukać przeszkód we własnej jaźni, dobywać je stamtąd i stawić na swej drodze. Musi tak czynić, bo to właśnie pokonywane przeszkody stanowią o godności człowieka. Musi tak czynić dlatego, że zwracanie przed przeszkodami postawionymi przez samego siebie jest w wielu przypadkach najszlachetniejszą czynnością, na jaką może się zdobyć ludzkie stworzenie.

Aldous Huxley

Walka jest wychowawczynią wolności. Gdyż co to jest wolność? To pragnienie samo-odpowiedzialności. To przestrzeganie dzielących nas od-daleń. To zobojętnienie na trudy i niedostatki, srogość, nawet na życie. To gotowość poświęcenia swej sprawie innych i siebie. Wolność to znaczy, że instynkty triumfalne, wojownicze, męskie zawładnęły innymi, na przykład instynktem „szczęścia”. Człowiek wyzwolony, tem bardziej duch wyzwolony, gardzi nikczemną błogością, o której marzą

*przekupnie, chrześcijanie, krowy, kobiety, Anglicy oraz inne demokracje. Człowiek wolny jest wojownikiem.*²⁸

Fryderyk Nietzsche

*Często nachodzi mię chęć zrobienia czegoś, ale rzadko pojawia się chęć zrobienia czegoś, co chcę zrobić. Sformułuję tę myśl nieco inaczej, a będziecie rozczarowani jej brutalną jasnością: chcę coś zrobić, ale nie chcę wkładać jakiegokolwiek wysiłku w urzeczywistnienie mojej chęci.*²⁹

Aleksander Zinowiew, „Homo sovieticus”

*Kiedy próbuję sobie wyobrazić ten nowy rodzaj despotyzmu, zagrażający światu, widzę nieprzebrane rzesze identycznych i równych ludzi, nieustannie kręcących się w kółko w poszukiwaniu małych, pospolitych wzruszeń, którymi zaspokajają potrzeby swojego ducha (...) Ponad wszystkim panuje na wyżynach potężna i opiekuńcza władza, która chce sama zaspokoić ludzkie potrzeby i czuwać nad losem obywateli (...) Nie łamie woli, lecz ją osłabia. Rzadko zmusza do działania, lecz zawsze staje na przeszkodzie wszelkiemu działaniu. Nie tyranizuje – krępuje, ogranicza, osłabia, gasi, ogłupia i zamienia w końcu każdy naród w stado onieśmiałonych pracowitych zwierząt, których panem jest rząd.*³⁰

*Ludziom osiemnastego wieku całkiem nieznaną była ta swoista namiętność do dobrobytu, którą można chyba uznać za matkę służalczości; namiętność miękka, a przecież uparta i trwała, która często się łączy i, by tak rzec, splata z niektórymi cnotami prywatnymi, z miłością rodziny, przyzwoitością obyczajów, szacunkiem dla religijnych wierzeń, a nawet z letnią, ale pilną pobożnością; namiętność, która pozwala na uczciwość, lecz wzbrania heroizmu i znakomicie przyczynia się do formowania statecznych ludzi i tchórzliwych obywateli. Tamci byli i lepsi, i gorsi.*³¹

Alexis de Tocqueville

28 F. Nietzsche, *Zmierzch Bożyszcz. Czyli jak filozofuje się młotem*, nakład Jakuba Mortkowicza, Warszawa 1905-1906, s. 101.

29 A. Zinowiew, op. cit., s. 171.

30 A. de Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*, PIW, Warszawa 1983, s. 470.

31 A. de Tocqueville, *Dawny ustrój i rewolucja*, „Znak”, Kraków 1994, s. 136.

W naszych czasach przyjęło się wierzyć, że wolność osobista zależy od tego, czy można wybierać pomiędzy Pawlakiem czy Suchocką i kupić w sklepie 10 rodzajów kremu do golenia zamiast jednego. Oznacza to, że wolność zależy od polityki i ekonomii. Od tego zależy też ludzkie szczęście i dobrobyt. W tej mierze znajduje wyraz być może najbardziej charakterystyczna cecha naszej cywilizacji polegająca na tym, że jednostki są podporządkowane kolektywom i kolektywnym urządzeniom, a swój los i samopoczucie uważają za zależne od czynników zewnętrznych. Tymczasem, jak powiedział Chamfort, tak zwanego szczęścia na tym świecie jest niezbyt wiele, a to, które jest, można znaleźć tylko w sobie. Poza tym są atrapy w rodzaju najlepszego stroju czy rozwijającej się gospodarki. Demokratyczny polityk i wynajmujący go handlarz są zresztą bardzo zainteresowani takim sposobem widzenia świata. Człowiek, który swoje szczęście uzależnia od tego, jaki będzie panował ustrój, to idealny wyborca, wyborca – można by powiedzieć – o orientacji marzycielskiej, a ci mierni ludzie, którzy dominują w partiach politycznych, niczego poza kiepskimi bajkami nie są w stanie zaoferować. Również sprzedawca coraz to nowej odmiany tego samego towaru gra na podobnej słabości i dziecinnej wierze w to, że posiadanie jakiegoś przedmiotu zmieni nas samych. Jednocześnie zwykły człowiek nie ma żadnego wpływu na sposób rządzenia, bo swój głos oddaje w sposób przypadkowy i w masowej demokracji trudno od niego wymagać, żeby było inaczej. Nie ma też żadnego wpływu na rozwój gospodarczy i świat polityki. Obie te dziedziny są dla niego realnie tak samo niedostępne, jak były kiedyś rządy pierwszych sekretarzy. Rezultat jest podobny jak w przypadku nauki i fachowców. Człowiek zaczyna wobec ekonomii i polityki żywić stosunek bałwochwalczy i zabobonny. Choć pomstuje na głupotę i złodziejstwo, to nie jest skłonny do jakiegokolwiek bardziej aktywnego działania na rzecz zmiany systemu, od którego funkcjonowania czuje się zależny. To właśnie ta sytuacja rodzi uwiad woli i poczucie beznadziejności indywidualnego wysiłku. Bardzo charakterystyczne są głosy, w których przejawy np. korupcji uważa się za dowód tego, że demokracja w Polsce jest jeszcze młoda i niedojrzała, jak gdyby osobista uczciwość zależała od systemu. Wypowiedzi te do

złudzenia przypominają tłumaczenia własnej nieudolności wypaczeniami socjalizmu. Skomercjalizowane media wmawiają dzisiaj stale, że w komunizmie rządziła doktryna polityczna, a kapitalizm to żywioł, wolność, koniec historii i system natury. W rzeczywistości najbardziej fundamentalną cechą obu systemów jest to, że życie i polityka właśnie są w nich podporządkowane doktrynom ekonomicznym, czyli materialistycznym i opartym jedynie na kryteriach ilościowych. W kapitalizmie zjawisko to osiągnęło niespotykany w dziejach stopień i rządy oceniane są tylko i wyłącznie według ilości lodówek, wyprodukowanych na głowę obywatela, czyli tzw. wzrost gospodarczy. A ponieważ ten możliwy jest tylko poprzez coraz szybsze działanie pracowniczo-konsumenckiej maszyny, w praktyce oznacza to, że im więcej hałasu, spalin, pośpiechu, społecznych patologii, tym większy powód do chwalenia się dla politycznych marionetek, które zajmują gros miejsca w dziennikach.

Dzisiejszy, wymagający ogromnych kapitałów rynek mediów wcale przyczynia się do tego stanu rzeczy. Polityka i ekonomia zajmują większość czasu w telewizji i miejsca w gazetach. Gazety powiązane z jednym lobby ujawniają oszustwa innego i to wszystko, ale życie przeciętnego człowieka nie ma wielkiego związku z rozgrywkami pomiędzy jednym wielkim dziennikiem a drugim, a ściślej między ich właścicielami. Rozgrywki te mają stwarzać wrażenie, że coś się dzieje i są odpowiednikiem starożytnych igrzysk, a wiadomości o tym, że np. wzrosła wymiana handlowa, służą również pokrzepieniu serc. Wszystko to jest do gruntu sztuczne, podporządkowane teoriom i doktrynom oraz temu „co przecież wiadomo”. To nic, że od kilkudziesięciu lat panujące elity nie są w stanie rozwiązać żadnego z istotnych problemów, poradzić sobie z zalewem chorób, przestępczości, z górą śmieci wokół nas. Wystarczy zapytać o to jakiegokolwiek specjalistę czy biurokratę, a usłyszymy długi, bełkotliwy wywód, z którego wynika, że nie ma się czego obawiać, bo wszystko jest mierzone i że wszystkie wskaźniki pokazują, że jest coraz lepiej i właściwie nie wiadomo dlaczego jest coraz gorzej. I telewidz czy czytelnik już jest spokojniejszy, bo posłyszał, że skażenia mieszczą się w normie, stan powłoki ozonowej zmniejszył się tylko o kilka procent, klimat ocieplił

tylko o jeden stopień i że takie coś zdarzyło się już kilkaset milionów lat temu i że zdarza się średnio raz na milion lat. Na czym opierają się te dane, kto ustalał normy, co daje samo mierzenie i dlaczego teraz wszystko ma mieć taki sam przebieg, jak milion lat temu i jaki naprawdę wtedy miało – lepiej nie pytać.

Inni wierzą, że zamiast mierzenia lepiej jest oddać władzę kobietom i że to ich intuicja – zgodnie z naukami chińskich mędrców w hollywoodzkiej interpretacji – zbawi świat. Mało wygodny fakt, że na Dalekim Wschodzie tradycyjny podział ról był i jest przestrzegany o wiele bardziej rygorystycznie, uchodzi jakoś uwadze entuzjastów teorii yin i yang. W ogóle całe zainteresowanie Wschodem wydaje się nie dostrzegać, że wszystkie tamtejsze systemy filozoficzne są oparte na ogromnym poczuciu samodyscypliny, ascezie i przestrzeganiu hierarchii. Wydaje się, że jest to konieczne także z uwagi na nieprecyzyjność języka i dlatego wyrwanie z kulturowego kontekstu kilku mglistych formuł jest kolejnym przejawem ucieczki od myślenia. Bo współczesna zachodnia cywilizacja wcale nie cierpi na przerost intelektualizmu, przeciwnie – jest oparta na niezliczonej ilości zabobonów, dotyczących życia doczesnego, na uczuciu chciwości, pychy wobec przeszłości, lęku przed śmiercią i wielu innych. Problem polega na tym, że takie motywacje działania wyznaczają rozumowi złe cele, stąd konieczność pokrywania ich przy pomocy specjalistycznych żargonów i magicznych formuł ekonomii. Osobiście, gdybym miał już stosować taką płciową historiozofię to powiedziałbym, że kryzys polega na feminizacji mężczyzn, którym brak siły woli i wytrwałości w realizacji długofalowych celów. Zamiast tego ulegają oni łatwo konformizmowi i godzą się na bycie częścią maszyny do produkcji zabawek, którymi potem narkotyzuje się pani Szczęsna. Feminizacja polskiego szkolnictwa, medycyny, sądownictwa wyraźnie pokazuje, że kobiety tak samo gorliwie realizują obowiązujące wzorce. Wszystkie badania dowodzą jednoznacznie, że to kobiety ulegają łatwiej reklamie i emocjom przy robieniu zakupów, a tak zwaną karierę robią po to, żeby coś komuś czy sobie udowodnić, czyli zupełnie niepotrzebnie. Oczywiście, dochodzi tu wiele innych przyczyn, a wszelkie uogólnienia tego typu zawsze zawierają spory margines błędu i są dla wielu jednostek

krzywdzące i denerwujące, ale właśnie dlatego warto czasem zastanowić się dłużej nad powszechnie obowiązującymi schematami. Również przekonanie, że XIX-wieczni wielcy odkrywcy i wynalazcy kierowali się tylko rozumem – jest uproszczeniem. Większość z nich była ożywiona bardzo szlachetnym, choć z dzisiejszej perspektywy naiwnym przekonaniem, że nauka i technika rozwiążą wszystkie problemy i zapewnią czasy wiecznej szczęśliwości. Ale to właśnie szczerść tych intencji sprawiała, że ówczesne wynalazki rozwiązywały to, co było w tamtych czasach problemami. Wielu z tych ludzi było zupełnie obojętnych na korzyści materialne i dobra doczesne. Zdarzały się przypadki, kiedy nie mogąc pogodzić się z lekceważeniem swoich odkryć wynalazcy popełniali samobójstwo. To właśnie prawdziwe i silne emocje oraz wielka wiara w pewne uniwersalne wartości zapręgały rozum tych ludzi do pracy, która była dla nich nie celem samym w sobie albo sposobem robienia pieniędzy, ale przede wszystkim drogą do realizacji ideałów. I to właśnie dlatego tak wielu z nich wprowadzało je w życie. Możliwe, że ktoś podobny do nich wymyślił kiedyś urządzenie do szybkiego rozkładania asfaltu i betonu. Wyobraźcie sobie takie ręczne spraye do niszczenia autostrad. W takiej sytuacji technika znów zaczęłaby służyć dobru i życiu. Ale żeby tak się stało, musi nagromadzić się w odpowiedniej liczbie umysłów silna wiara, że coś takiego trzeba wymyślić. Słusznie pisał w tym kontekście Ernst Schumacher: *Zadaniem najważniejszym dla naszego rozumu jest odzyskanie bardziej autentycznej wiary niż ta, którą mamy obecnie*³², gdzie indziej dodając, że to nieprawda, że zaczęto dziś ignorować filozofię i etykę, ale że *wyposażono nas w tanią filozofię i odrażającą etykę*³³. W całościowym odrzuceniu przez niektórych kontestatorów wszystkiego co było, widać często myślenie „na złość”, czyli zwykłe intelektualne lenistwo, które nie pozwala oddzielić tego, co wartościowe, od tego, co tandetne.

Dowodem na postępującą infantylizację jest popularność wszelkich sekt, ruchów charyzmatycznych i innych środków zbiorowej hipnozy.

32 E. F. Schumacher, op. cit., s. 108.

33 jw., s. 106.

W grupie jest różniej, ale jest to różność budowana przez zapomnienie o rzeczywistości i otaczającym świecie, czyli kolejny, beznadziejny narkotyk. Prawdziwe życie jest natomiast, jak pisał Józef Mackiewicz: *samotnością w życiu. Rośnięcie i myśl towarzysząca. Każde doznanie człowieka jest jedyne i niepowtarzalne. Im bardziej przestaje być samotnym, tym bardziej oddala się od rzeczywistości. Im bardziej identyfikuje się z innymi, tym bardziej oddala się od prawdy*³⁴. Ale czym innym jest świadome przeżywanie samotności, a czym innym ucieczka przed światem i przed innymi. Natomiast dzisiejszy człowiek używa towarzystwa jako ucieczki od samego siebie, a samotności do zapomnienia o świecie. Jedno i drugie ułatwić mają narkotyki, środki psychotropowe i cudowne wynalazki, pozwalające pożerać przestrzeń i przenosić się w tak zwaną rzeczywistość wirtualną z głową włożoną do komputera. Kiedyś wystarczyło takim rozhisteryzowanym dzieciom wciśnięcie głowy w poduszkę. W takim stanie trudno liczyć na rozwiązanie jakichkolwiek problemów indywidualnych i społecznych. Wszystkie one tylko się nasilają, a zahipnotyzowani ludzie patrzą w ekrany telewizorów, powtarzają formuły o złym średniowieczu, wchodzeniu w XXI wiek i o tym, że trzeba mieć nadzieję. Przy czym są stale czymś bardzo zajęci i aktywni, starają się pomóc innym i światu, ale jest to aktywność przypominająca działanie egzaltowanych panienek, które chcą być w centrum zainteresowania, „robić coś” i marzą, tak jak w piosence „Skaldów”: *żeby coś się stało z nami*. I dużo się z nimi dzieje, tylko że nic z tego nie wynika.

Życie w wielkich miastach, czyli środowiskach od początku do końca sztucznych umacnia jeszcze tę dziecinną mentalność. Jak pisał Ortega y Gasset: *Współczesne masy ludzkie otacza świat pełen możliwości, a na dodatek pewny i bezpieczny (pisane w roku 1930); zastają wszystko gotowe, będące do ich dyspozycji, ogólnie dostępne, jak słońce i powietrze, nie wymagające jakiegokolwiek wysiłku (...)* Owe rozpuszczone masy są wystarczająco mało inteligentne, by wierzyć, że cała ta materialna i społeczna organizacja, będąca jak powietrze do ich dyspozycji, jest tego samego pochodzenia, co i ono (...) nie interesuje ich

34 J. Mackiewicz, *Sprawa Pułkownika Miasojedowa*, „Kontra”, Londyn 1989, s. 565.

nic poza własnym dobrobytem, a jednocześnie nie mają poczucia więzi z przyczynami tego dobrobytu. Zdobywcy cywilizacji nie odbierają jako cudownych, genialnych konstrukcji, których istnienie należy pieczołowicie podtrzymywać, wierzą więc tylko, że ich rola sprowadza się do wymagania tych ostatnich, jak gdyby chodziło o przyrodzone prawa³⁵. Za jedną z takich zdobywcy uznał też sztukę introspekcji, pisząc: Uwaga skierowana do wnętrza, czyli pograżenie się w sobie jest najbardziej antynaturalnym, ponadbiologicznym faktem w człowieku. Potrzeba mu było wiele tysięcy lat, aby wykształcić w sobie trochę – tylko trochę – zdolności do koncentracji³⁶. Zdolność do koncentracji to zdolność widzenia rzeczywistości, samotność dobrze przepracowana jest właśnie okazją do wypracowania w sobie takiego spojrzenia. Ale kto w dzisiejszych czasach uczy sztuki bycia samemu, bez radia, gazety, telewizji, partnera czy komputera, kto uczy myślenia samotnego, czyli niezależnego i wolnego? Taka nauka byłaby też nauką bycia razem, bo tylko towarzystwo ludzi, którzy nie uciekają przed samotnością jest ciekawe i nie ma cech nerwicy natręctwa. W pół wieku po tym, co pisał Ortega można już mówić o następnym stadium kryzysu, jakim jest świadomość zagrożenia i brak silnej woli, by mu przeciwdziałać. Poszukiwanie bezpieczeństwa w „rozwinętym terenie” jest ucieczką beznadziejną, bo by pozostać przy myśli Hiszpana: samą substancję człowieka stanowi właśnie niebezpieczeństwo. Człowiek zawsze wędruje pośród przepaści i czy tego chce, czy nie chce, jego najautentyczniejszym obowiązkiem jest utrzymanie równowagi³⁷. Tylko ktoś taki i działający zgodnie z tym, co po dojrzałym i uczciwym przemyśleniu uznał za swoje powołanie, może być wolnym.

Popularne jest też przekonanie, że wolność polega na tym, że każdy może mówić i ogłaszać drukiem to, na co ma ochotę. W sytuacji, gdy obecny system uważany jest za koniec historii, a ustrój za jedynie słuszny, wszyscy na ogół mówią to samo. Jednocześnie przebicie się do masowego odbiorcy jest prawie niemożliwe bez akceptacji właścicieli wielkich stacji telewizyjnych, reklamodawców i utrzymywanych

35 J. Ortega y Gasset, op. cit., s. 64.

36 jw., s. 342.

37 jw., 355.

przez nich tak zwanych kręgów opiniotwórczych, czyli grup płatnych sofistów. Barbara Toporska ujęła to dosadnie pisząc: *Łatwiej było kiedyś oddziaływać na umysły całej Europy pisząc gęsim piórem, niż dzisiaj posługując się elektryczną maszyną do pisania. Narzucony przez postęp techniczny pośrednik, czyli redaktor lub wydawca, liczy się z ilością czytelników, którym najlepiej trafiają do przekonania ich własne przekonania lub przekonania z „firmą”, którą z góry akceptują*³⁸. Gdzie indziej wspomniała, że: *stado baranów nie przestanie być stadem baranów nawet wtedy, kiedy podzieli się na kilka partii i wybierze ogon, za którym chce podążać*³⁹. Zabobonna i bezkrytyczna wiara w to, że masowa demokracja jest panaceum na wszystko, to kolejna przykrywka dla ucieczki od odpowiedzialności. Większość nigdy nie może być o nic oskarżona, a jeżeli nawet, to przed kim może większość odpowiadać? Tak zwany trójpodział władz już dawno stracił na znaczeniu i wszystkie trzy władze znaczą coraz mniej wobec anonimowych sił medialno-biznesowych decydujących o stanie umysłu mas. Masa jest zawsze nieodpowiedzialna. Zjawisko dyfuzji odpowiedzialności, jakie zachodzi w tłumie, to elementarz społecznej psychologii.

Wolność to podobno także nieograniczona możliwość przemieszczania się. Polscy piewcy kapitalizmu z zachwytem mówią o tym, jak często przeciętny Amerykanin zmienia miejsce zamieszkania i pracy. Jaki jest cudownie MOBILNY. Oprócz wielu innych negatywnych skutków, takich jak choćby zanik trwałego przywiązania do danego miejsca na ziemi, co Józef Mackiewicz nazywał patriotyzmem pejzażu (zaliczał do niego także ludzi, rośliny i zwierzęta), ogromnej powierzchowności stosunków międzyludzkich, maskowanej uśmiechem białych ząbków *made in USA*; być może najbardziej znaczącym dla naszej planety skutkiem takiej postawy życiowej jest to, że wszystkie miejsca na Ziemi zaczynają być do siebie podobne. Mobilny, zachodni życiowy turysta nie ma bowiem dość czasu, żeby poznawać świat, o wiele łatwiej jest go ujednoclić. Nie trzeba wtedy tracić czasu np. na uczenie się innych obyczajów czy języka. „Rozwinięty teren” jest wszędzie taki

38 B. Toporska-Mackiewicz, *Droga Pani*, „Oficyna Liberalów”, Warszawa 1988, s. 38.

39 jw., s. 57.

sam. Wszędzie beton, plastik, asfalt, trawnik, samochód, supermarket, te same stroje, te same bary, dyskoteki, ci sami zestandaryzowani ludzie, oglądający te same reklamówki i słuchający tych samych, bardzo ważnych „newsów”, wyrażający te same słuszne poglądy, uważający słowo „kontrowersyjny” za epitet (ludzie „jednowersyjni”?) i bardzo przyjacielscy, dziwiący się, jeżeli nie chcesz żyć tak jak oni i „mieć fun”. I tak cudownym sposobem można być mobilnym i czuć się wszędzie u siebie. Różnorodność jest nieekonomiczna, nieopłacalna i nieracjonalna, trudniej ją zamienić na komputerowy program.

Prawda jednak jest inna i jak pisał Isaac Bashevis Singer: *szczęście i indywidualizm to zjawisko identyczne. Staje się on (człowiek – przyp. O.S.) szczęśliwy wyłącznie wtedy, kiedy może wyrazić całą swą niepowtarzalność (...), a – Indywidualistycznie nastawiony artysta staje się pierwszą ofiarą brutalności kolektywizmu i dyktatury, nieważne czy będzie to dyktatura partii czy pieniądza*⁴⁰. Ekstrapolując myśl Singera można powiedzieć, że taką samą ofiarą staje się ktoś, kto chce być dziś artystą życia i wieść je w sposób wolny i odpowiedzialny.

40 I. B. Singer, *Reguła indywidualizmu*, za: „Gazeta Wyborcza”, dodatek „Gazeta o Książkach”, 17.11.1993.

4 | POLSKA

Stan jednomyślności w sprawach zasadniczych, czy, jeżeli kto woli: ilość spraw narodowych nie podlegających dyskusji, która nas wyróżnia od innych społeczeństw wolnego świata, nawet w obecnej atmosferze kolektywnego ich sposobu myślenia – datuje się nie od dziś. Tradycyjnie narzekamy na polskie „warcholstwo” i „polską niezgodę”. W rzeczywistości, w porównaniu do innych narodów, staliśmy się nie od wczoraj jednym z najbardziej zdyscyplinowanych narodów na świecie.⁴¹

Józef Mackiewicz

Zawsze jakaś sfera mojej działalności była w danej epoce mego życia w cieniu uśmiechu kretyna (...) – i dlatego tak bardzo rozumiem doniosłość tego zjawiska, które rozszerzone do tych rozmiarów co u nas, nabiera cech grozy społecznej: prowadzi do bezpłodnej malkontencji, zlekceważenia każdego oryginalnych poczynań (na tle tego, że każdy Polak au fond drugim Polakiem troszeczkę pogardzowuje), do uznania tylko tego, co przyjdzie już z zagraniczną marką (...), do wyśmiewania się z bezinteresownej walki o idee, do zakatrupienia w zarodku każdej

41 J. Mackiewicz, *Zwycięstwo Prowokacji*, „Kontra”, Londyn 1988, s. 37.

*samodzielnej myśli, do ogólnego spsienienia i zgównienia wszystkiego, kretyn pokryje swym uśmiechem wszystko (...). Ale często jest ten sposób reakcji na wszystko (tj. uśmiech kretyna) nie programowym draństwem, tylko po prostu nieświadomym kompleksem niższości.*⁴²

**Stanisław Ignacy Witkiewicz,
„Niemyte dusze”, rozdz. „Uśmiech kretyna”**

*Kiedy się więc odspołeczni naród przez zatracenie europejskiego charakteru społeczności, kiedy jego kontrola nad harmonią żywiołów (obcujących z innymi i wyróżniającymi go od innych) przestanie być trzeźwą oczywistością, kiedy zatem oceny u siebie i właściwej sobie nie wytworzy – czy to na polu prac doczesnych, czy w sferze umysłowej i moralnej, kiedy więc sprzedając równe innym owoce, nie będzie się równał jako drzewo i poniżać się zacznie, kiedy za poniżeniem przyjdzie słuszną potrzeba dumy, ale tę nie wiedząc gdzie postawić? – zamieni się ją przez niewłaściwość postawienia w drobną i dlatego drażliwą pychę, kiedy z tego wygaśnie instynkt trafnej reprezentacji, bo wybierać się ku temu zacznie położenia – obywateli a nie obywateli i przeto w tejże samej chwili będzie się tych samych ludzi podnosiło i bezcześciło (...) będą to już zapewne ciosy niemałe. (...) W następstwie dopiero idzie suma takowego obłądzenia, czyli, że tak się wyrażam – powaśnienie historii z geografiją i pracy z ziemią.*⁴³

Cyprian Kamil Norwid, „Znicestwienie narodu”

Wbrew temu co się sądzi, uważam, że Polacy są potwornymi konformistami i brak im rzeczy zasadniczej, która odróżnia mężczyzn od nie-mężczyzn – odwagi cywilnej.

Zbigniew Herbert

Był jednym z nielicznych Donów, który nigdy nie został aresztowany i którego prawdziwej działalności nawet nie podejrzerowano. I to do

⁴² St. I. Witkiewicz, op. cit., s. 305-306.

⁴³ C. K. Norwid, *Znicestwienie narodu*, w: *Pisma wszystkie*, t. 7, PIW, Warszawa 1973, s. 88-89.

tego stopnia, że uczestniczył w społecznych komitetach i został wybrany przez Izbę Handlową „Biznesmenem Roku na stan Nowy Jork”.

Mario Puzo, Ojciec Chrzestny

W opozycji do cywilizacji kapitalistycznej powstała na Zachodzie ogromna i wielka literatura. Dzisiaj też większość ludzi myślących niezależnie jest nastawiona do tego systemu negatywnie. Tymczasem w Polsce zachwyty nad kapitalizmem i tzw. rozwojem przypominają poziomem i monotonią stalinowskie produkcyjniaki, często zresztą wyrażają go ci sami ludzie. Wedle badań opinii publicznej najbardziej popierają „nowe” biznesmeni i tzw. intelektualiści, przy czym w odniesieniu do tych ostatnich dotyczy to zarówno tzw. lewicy, jak i prawicy. Różnica polega na tym, że jedni chcą rozwijać kraj po europejsku, drudzy po polsku i po Bożemu. A ponieważ asfalt i plastik nie są ani Boże, ani europejskie, więc na jedno wychodzi. W *Cudownej melinie* Kazimierza Orłosa opisano, jak pewien komunistyczny władca chciał „zradiofonizować” jakieś małe miasteczko. Historia oparta była na faktach autentycznych. Dzisiaj tamto marzenie zostało zrealizowane w skali całego kraju. Głośniki ustawione są w kawiarniach, na przystankach i rogach ulic. Stan kraju jest natomiast oceniany przez tak zwanych poważnych polityków po wyglądzie wystaw i wrażeniach ze spaceru po centrach wielkich miast. Tak więc, parafrazując zakończenie *Małej apokalipsy* Konwickiego trwa nieustanny festyn, w którym z głośników słychać radosne: *zbudowaliśmy kapitalizm*. Czytając wypowiedzi polskich inteligentów mam wrażenie, że wszyscy oni ogarnięci są jakimś kompleksem fatalistyczno-masochistycznym i jeżeli gdziekolwiek na świecie jakiś nonsens znajdzie uznanie, uważają za konieczne zrealizowanie go w Polsce. Oto kolejny cytat z GW, która odzwierciedla i kształtuje poglądy na świat polskiej inteligencji. Danuta Zagrodzka pisze: *Weszliśmy w spiralę wciąż niezaspokojo-nych pragnień, która z jednej strony dręczy, z drugiej – napędza. Tzw. napięcie aspiracyjne jest wszędzie motorem koniunktury – żeby więcej mieć, trzeba więcej zarobić, a więc trzeba być aktywnym, a to sprawia, że gospodarka też kręci się żwawiej. Ten kołowrót jest dla jednostek nie-zwyczajnie męczący. Wszędzie na świecie są ludzie, którzy nie wytrzymują*

ciągłego napięcia społeczeństwa konsumpcyjnego. I co pewien czas pada całkiem zasadne pytanie – po co nam to wszystko? Rozważania na ten temat są ciekawe i twórcze, ale w naszej polskiej sytuacji chyba cokolwiek przedwczesne. Stopień naszych zapóźnień z jednej strony, a aspiracji modernizacyjnych z drugiej jest tak duży, że nie bardzo jest czas na oddech. Ludziom potrzebny jest na ogół pewien ogólnie przyjęty w danym czasie standard, by mogli poczuć się dobrze. Do tego jeszcze daleko. W dodatku te standardy nie my wyznaczamy. A świat nie zatrzyma się dla nas⁴⁴. Naszej redaktorce dzielnie sekunduje profesor antropologii UJ Zdzisław Mach, który pisze: *Mieszkał tam* (w małej społeczności z czasów prl – przyp. O.S.) *zdun, który pracował tylko cztery godziny dziennie, chociaż wokół piece dymiły i ludzie czekali na jego usługi. Ale on potrzebował tylko na piwo, a na to pół etatu starczało. Bez rozbudzonych potrzeb społeczeństwa umierają*⁴⁵. Mamy tu typowy przykład stawiania abstrakcji i utopii ponad samopoczucie jednostki. Społeczeństwo umierało, ale zdun czuł się dobrze, dzisiaj zdunowi jest źle i zamiast iść na piwo, haruje – być może do świtu do nocy – a może się przekwalifikowuje, staje młody i dyspozycyjny, ale społeczeństwo się rozwija i Mach jest zadowolony. Znakomicie ujął to szaleństwo wielki współczesny filozof, ojciec Bocheński. W swoich rozważaniach nad sensem życia napisał: *...człowiek dzisiejszy musi się wychowywać przez świadomy wysiłek do postawy kontemplacyjnej. Ona sama nie przyjdzie. Jeśli się dam ponosić fali publicznej opinii, zostaną do śmierci niewolnikiem aktywizmu, pędzonym od jednego celu do innego, bez przerwy, bez wytchnienia. Skąd się ten aktywizm bierze? Ma zapewne wiele korzeni. Jednym z nich jest niewątpliwie kolektywizm, mniemanie, zgodnie z którym mamy żyć tylko i wyłącznie dla Społeczeństwa (przez bardzo wielkie „S”), tego batwana współczesnego. Mamy więc pracować, działać, aby osiągnąć dla tegoż Społeczeństwa jak największe wyniki*⁴⁶. Ideologia dostarczana przez GW i profesorów jest znakomitym usprawiedliwieniem dla całej masy

44 D. Zagrodzka, *W pogoni za grzesznym światem*, w: „Gazeta Wyborcza”, magazyn, 30.12.1994.

45 jw.

46 J. M. Bocheński, *Sens życia i inne eseje*, Philed, Kraków 1993, s. 14.

złodziei, którzy zresztą coraz częściej kupują gazety i stacje radiowe lub telewizyjne. Polska inteligencja, kiedyś najbardziej skomunizowana, dziś znowu stara się iść z duchem czasu i tak jak kiedyś stanowiła najwierniejszą podporę „czerwonych”, tak teraz z gorliwością neofitów zachwala panoszenie się ludzi, dla których jedynym właściwym miejscem pobytu powinno być więzienie. Zamiast wyroków, otrzymują oni tytuły „Ludzi” i „Biznesmenów Roku”. Marek Nowakowski w swoim *Homo Polonicus* pokazał, jak ideologia GW jest przyswajana przez tworzącą się tzw. klasę średnią, która ma zastąpić dawny lud. Oto fragment tego credo: *My jesteśmy solą tej ziemi, śmiało podnosimy przyłbicę i podejmujemy męską bezpardonową walkę. Robimy pieniądze, obracamy nimi, inwestujemy, tworzymy normalną gospodarkę, stanowimy awangardę. Musisz mieć świadomość swojej roli, pamiętaj, rozległych horyzontów do tego trzeba. Widzieć zjawiska w makroskali, a nie zza prowincjonalnych opłotków*⁴⁷. Ale książka Nowakowskiego została przemilczana. Jak powiedział kiedyś Ksawery Pruszyński o *Buncie rojstów* Mackiewicza: *za wiele w niej było prawdy o nas, a tego nie zwykliśmy wybaczać*⁴⁸. Popularnością cieszy się za to Danuta Zagrodzka, która z rozbijającą szczerością opisuje postęp cywilizacyjny jako dzieło dzieci, pisząc: *Ważnym czynnikiem postępu cywilizacyjnego są dzieci. W „procesie decyzyjnym” – jak twierdzą marketingowcy – są u nas ważniejsze niż na Zachodzie. Pośrednio potwierdza to CBOS. W zbadanych w październiku (1994 – przyp. O.S.) rodzinach z dziećmi do lat 19 dochody na osobę były niższe od przeciętnych, za to wszystkich mniej lub bardziej nowoczesnych przedmiotów było więcej. Zwłaszcza tych, którymi młodzież najbardziej się pasjonuje i które liczą się w grupie równieśniczej*⁴⁹. To bardzo cenne spostrzeżenie, ale ja niezależnie od CBOS odkryłem, że również redaktorki wielkonakładowych pism mają mentalność małych dziewczynek. Ale proszę mnie nie posądzać o antyfeminizm. Staś Bombiak z książki Nowakowskie-

47 M. Nowakowski, *Homo Polonicus*, „Pomost”, s. 43.

48 T. Mianowicz, *Zbrodnia literatury*, w: „Kresy” nr 16, s. 56.

49 D. Zagrodzka, op. cit.

go to przecież mały chłopczyk, tylko bardziej niebezpieczny, a jego zabawki groźniejsze dla otoczenia.

Wszystko to potwierdza, niestety, obserwacje naszych klasyków o tym, że kolektywizm myślenia, kompleksy i tchórzostwo intelektualne to nasze narodowe cechy. Polska lewica i prawica pasują jak ulał do opisów Norwida sprzed stu z górą lat. Ludzi, którzy mają inną od obowiązującej wizję rzeczywistości, oba te kolektywy traktują już nawet nie jak oszołomów, ale coś tak bardzo nie mieszczącego się w główkach naszych „elit”, że ich istnienia albo w ogóle się nie zauważa, albo próbuje się na siłę takich odmieńców zaklasyfikować do któregoś z kolektywów. Celuje w tym prawica, której świat jest idealnie dwubiegunowy i wszystko na nim dzieli się na lewicowe i prawicowe, a samo zakwestionowanie tego podziału uznane jest za lewicowe (co zresztą jest zgodne z logiką takiego „myślenia”), zielony znaczy więc czerwony, choć kolory na oko są to różne, ale co tam oko, ważna jest polityczna poprawność.

Myślę, że samo nazwanie całej klasy ludzi słowem inteligencja jest tych kompleksów najlepszym odbiciem. Jak bardzo bawiłoby nas, gdyby jakaś grupa nazwała się „Szybkość”, „Uroda”, „Zmysłowość” – ale to tylko kwestia przyzwyczajenia. Jeżeli dodać, że przynależność do inteligencji była i jest dziedziczna, to rzecz urasta do rozmiarów społecznego absurdu, który musi skończyć się tym, że inteligencja przepadła się w kretynizm, o którym pisał Witkacy. Taki właśnie wybór nazwy potwierdza też obecność wad, o których pisałem w poprzednich rozdziałach. Zawiera on w sobie wiarę w to, że problemy można rozwiązywać poprzez znajomość teorii, posiadanie dyplomów i tytułów, a wszystko i tak jest mało ważne wobec towarzyskiego obycia. Tym właśnie próbuje się zastąpić brak ikry, być może dziedziczny. Tymczasem historia, czyli życie, karze zawsze najsurowiej za tchórzostwo i schematyzm. Dwa nasze największe zwycięstwa: Grunwald i bitwę warszawską odnieśliśmy dzięki temu, że raz walczyliśmy po azjatycku, a drugi raz byliśmy dowodzeni przez lewicowo-prawicowego dyletanta.

Paradoks polskiej sytuacji polega na tym, że naszą największą szansą jest to, co nasi przywódcy i ludzie prości uważają za zapóźnienie,

zacofanie i w ogóle za coś, co trzeba koniecznie zmienić (w ekonomii jest nawet na to fachowy termin – renta zapóźnienia). I tak duża liczba ludzi mieszkających na wsi i zdolnych jeszcze do fizycznej pracy na roli, mała powierzchnia gospodarstw to największe atuty polskiego rolnictwa, które mogłoby się stać znaczącym producentem nie trutej żywności. Ale żeby coś takiego osiągnąć, trzeba chcieć coś takiego osiągnąć. Tymczasem nasi wybrani „położenia obywatele” chcą tylko być popularni. A popularność w Polsce osiąga się poprzez uzalanie się nad losem Polaków, brakiem kapitału, zwalanie wszystkiego na komunizm i obiecywanie poprawy poprzez ślepe naśladowanie Zachodu lub Polski międzywojennej. Jest to zresztą samonapędzający się mechanizm, w którym politycy pewne przekonania popularyzują, a potem stają się niewolnikami ich popularności. Ale rozważania nad tym są, zdaniem naszych „elit”, by użyć słów mojej ulubionej Zagrodzkiej: *Być może ciekawe i twórcze, ale chyba przedwcześnie.*

Równie denerwujące jest przekonanie naszych autorytetów o tym, że aby być krajem atrakcyjnym turystycznie musimy budować wymagającą zachodnich kapitałów infrastrukturę. Naszym „elitom” nie mieści się w mózгах, że Polska jest atrakcyjna właśnie dlatego, że tej infrastruktury nie ma i że dla zachodniego turysty znacznie większą atrakcję stanowi bocian i bagna, niż autostrada i buda z hot-dogami. O tym, żeby samemu kształtować gusta w tej dziedzinie – to nawet nie ma co marzyć, dzieci mogą tylko napędzać koniunkturę. Jedynym wynalazkiem, w który należałoby zainwestować nasz skromny, słowiański kapitał jest ubikacja i łazienka. Trochę się ich buduje, ale wiara, że raz zbudowane czyszczą się same wciąż jest silna w narodzie. Polacy powinni też zrozumieć, że nie wszyscy lubią mieszkać „na kupie”, czyli w wieloosobowych pokojach. To wszystko wymagałoby, oczywiście, celowej i konsekwentnej działalności propagandowej i edukacyjnej. Odnoszę jednak wrażenie, że są to rzeczy, których uczenie np. w telewizji uznano by za obrażające naszą godność narodową czy coś w tym rodzaju, a uśmiechający się kretyni przypomnieliby o Sławoju-Składkowskim. Przypomnieliby też, być może, historię o zdechłym kocie, którego gdzieś, na jakimś osiedlu wrzucono do pojemnika na szkło lub papier. Normalny wniosek z takiego faktu to

jeszcze energiczniejsza edukacja i karanie z drugiej strony. W Polsce wniosek jest inny, taki mianowicie, że nie ma po co segregować śmieci, naród nie dojrzał, syndrom zdechłego kota po prostu. Znosi się więc na to, że polski chłop będzie budował wielki, betonowy dom z oknami z PCV, otaczał go płotem z metaloplastyki, wyrzucał śmieci do lasu, ścieki do rzeki i popierał szaleńczy pomysł budowania autostrad, wierząc, że wtedy to na pewno dewizowi goście przyjadą. Przyjadą, ale tylko na dziwki do motelu, gdzie jego córka być może znajdzie swe upragnione miejsce pracy. Budowa autostrad to zresztą najlepszy dowód, że miłość do wielkich budów nie była specyfiką komunizmu. Tak jak w przypadku Nowej Huty, koronnym argumentem są miejsca pracy, przy jednoczesnym niszczeniu dziesiątek tysięcy gospodarstw i upadku kolei. Są jeszcze opracowania tzw. zachodnich ekspertów (którzy zastąpili towarzyszy radzieckich) czyli ludzi, którzy za pieniądze wielkich koncernów samochodowych, zainteresowanych powstaniem autostrad, podpiszą każdą bzdurę, taką jak ta, że autostrady przyczyniają się do oszczędności paliwa. Koncerny te mają zresztą coraz większe kłopoty ze zbyciem swoich uszczęśliwiających świat „dóbr” w krajach zachodnich, które myślą jak się z przerostu indywidualnej motoryzacji wydestać. Austria i Szwajcaria też zarabiają na tranzycie, tyle tylko, że ciężarówki wożą koleją, a na wakacje budują trasy rowerowe po kilkaset kilometrów. W Polsce niszczenie tysięcy kilometrów terenu odbędzie się bez dyskusji. W tym czasie dojdzie, być może, do referendum na temat, czy ktoś tam ma mieć więcej władzy od kogoś tam, czy mniej. Za kilkanaście lat okaże się, że autostrady są nam potrzebne, tak jak Nowa Huta. Ale czy ktoś widział, żeby ludzie gdzieś zdarli asfalt i zasadzili drzewa? Wielki biznes na to nie pozwoli. Raczej zmusi nas, poprzez swoich ludzi w rządzie, żebyśmy jeździli samochodami po płatnych autostradach. W tym celu wystarczy podnieść opłaty za kolej i dalej utwierdzać ludzi w przeświadczeniu, że tlen i spaliny to coś, czego nie ma. Związki zawodowe podniosą alarm (tak jak w przypadku Nowej Huty), że oto trzeba chronić nasz polski, narodowy przemysł motoryzacyjny (kolejna „lokomotywa gospodarki”) i wszystko będzie ok. Budżet dopłaci. W razie czego doda się argument, że nie po to budowaliśmy takie

wielkie drogi, żeby teraz po nich nie jeździć. Swego czasu Zdzisław Grudzień zbudował w Katowicach dworzec kolejowy, na który wchodzi się po wielkiej estakadzie. Kiedy ktoś zaproponował otwarcie wejścia z jej pominięciem, argument był dokładnie taki sam: nie po to ją budowaliśmy, żeby teraz po niej nie chodzić. Obecny minister transportu odpowiada natomiast zrozpaczonym mieszkańcom Ursynowa, że to nie autostrada będzie za blisko ich mieszkań, ale domy są za blisko autostrady. A efektem będzie zniszczenie dzikiej przyrody, znikną bociany i turyści. Bo tak już jest, że ludzie, którzy chcą ciągle kogoś dogonić i naśladować, komuś coś udowodnić, a jednocześnie pozwalają się rządzić przez ludzi ciemnych i skorumpowanych, są przez świat traktowani tak, jak na to zasługują, czyli jak istoty infantylne i niedojrzałe, którymi można manipulować i grać na ich kompleksach po to, by sprzedać akcje, które mogą już tylko spaść.

Na to wszystko nakłada się jeszcze fakt, że nasze „europejskie elity” są tak moralnie i intelektualnie skorumpowane, że masy niejako na złość biorą wzór nie z małych, dobrze rządzonych krajów alpejskich czy skandynawskich, ale z przodujących w rozwoju i w bigoterii zarazem Stanów Zjednoczonych. Tę rzeczywistość oddają najlepiej pałace Carringtonów na kilkuarowych działkach.

Wspomniany już ogólny kryzys duchowy świata zachodniego to temat sam w sobie. Cokolwiek by jednak nie mówić, Zachód stworzył też mnóstwo mechanizmów obronnych, a przede wszystkim jest samodzielny i umie wybierać z tego, co stare i nowe. W Polsce natomiast wszystko jest naśladownictwem, a przez to staje się sztuczne i nie pasujące do sytuacji. Natomiast do polskich tradycjonalistów odnoszą się słowa Norwida z cytowanego na wstępie eseju: *Żaden najdoskonalszy zatraciciel obmierzić narodowi nie potrafi własnych tradycji jego, jak to nieoświecony zdoła konserwatywizm. Podobno, że-ażebym cokolwiek bądź z gruntu obalić – najlepiej bywa zamienić to pierwej w nieusprawiedliwioną niczym religię*⁵⁰. W tym miejscu wypada też z żalem stwierdzić, że Kościół Katolicki stara się zachować często jakby najbardziej zależało mu na popularności i pochlebia najniższym

50 C. K. Norwid, op. cit., s. 92.

instynktom. Poświęcono Hutę im. Lenina tylko dlatego, że nazywa się już inaczej, poświęcono fabrykę Coca-Coli, poświęci się z pewnością autostrady. Dzieje się tak dlatego, że ludzie Kościoła sprawiają wrażenie, jakby sami nie wierzyli, że mają do zaoferowania jakieś wartości duchowe. Praca służy więc jako ich namiastka, która ma uchronić wiernych przed patologiami, rodzonymi przez tę samą cywilizację pracy. Chodzi o to, żeby ludzi czymś zająć. Uzupełnieniem tego jest kult rodziny. Podobnie jak praca, o której pisał Nietzsche, stanowi on w polskich warunkach najlepszy sposób wciągania w pracowniczy kierat i utraty wszelkiej niezależności. W zależności od okoliczności, jęklive lub nadęte: *Mam żonę i dzieci najczęściej znaczy: Muszę robić byle co, wszystko co każą, byle tylko zarobić i najczęściej służy jako ostateczna wymówka dla wszelkiej postaci oportunistów i przeciętności. Ktoś chyba jest też w końcu odpowiedzialny za rosnące lawinowo szeregi młodych bandytów. Ale w Polsce nikt za nic nie jest odpowiedzialny, a ponad 50% małżeństw zawiera się z tak zwanego przymusu. Potem można całe życie jęczeć i domagać się przywilejów, no bo ma się żonę i dzieci. Kościół przynosi pociechę i jest z narodem, jednak gdy naród jest z mamoną, nie jest to powód do chwały. Ludzie ducha i sam Chrystus byli na ogół przeciw narodowi, ale za to właśnie z duchem i prawdą. I choć mówi się w wypadku krytyki, o polityce obliczonej na tysiąclecia, to oportunizm właśnie na dłuższą metę nie popłaca. Uważne przyjrzenie się dzisiejszym ludziom pozwala twierdzić, że wielu z nich coraz bardziej ma dosyć tego, co jest i na własną rękę poszukuje duchowości. Narkoman wcale nie przepada za kimś, kto mówi mu: fajnie jest, nie trać tylko nadziei, bracie/siostro. Fałsz i łatwizna takiej postawy jest nazbyt widoczna. Ale żeby być znakiem sprzeciwu, trzeba być wojownikiem ducha, a nie cierpiącym na słowotok księdzem-profesorem. Równie fałszywie brzmi stanowisko w sprawie przyrostu naturalnego. Zamiast cieszyć się, że spada liczba aborcji i przyrost ludności, wypada w Polsce lamentować patriotycznie, że „grozi nam” depopulacja oraz że nie będzie kto miał utrzymywać emerytów. To ostatnie oznacza, że w ogóle, aby przeżyć, to musi być nas coraz więcej. Ale mówiąc poważnie, to wydaje się, że w obecnych czasach zalewanie liczbą nie ma sensu, a przy takiej a nie innej*

kondycji kulturalnej byłoby wręcz żenujące. W Kanadzie i na Antypodach żyje się całkiem nieźle. A co do emerytów, to po pierwsze – trzeba podnieść zarobki i odpowiednio składki emerytalne, a po drugie – zamiast dostarczać „dóbr” przyłożyć się do wychowania dzieci i wnuków tak, żeby nie trzeba było się ich bać na starość. Utrzymanie i kształcenie młodych wcale nie kosztuje mniej, niż oddanie emerytom tego, co im się słusznie należy. W wychowaniu też warto postawić na jakość i zerwać z masową tandetą w tej najważniejszej dla przyszłości dziedzinie.

ZAKOŃCZENIE

Zdaję sobie sprawę, że to, co napisałem, może być skwitowane oskarżeniem o tak zwaną spiskową wizję świata, jałowe krytykanctwo i brak pozytywnych rozwiązań. Jeżeli chodzi o to pierwsze, to po prostu nigdy nie byłem wyznawcą teorii głupiego Jasia, w myśl której wszystko na tym świecie dzieje się jawnie i przez przypadek. Uważam ją za równie kretyńską, jak wiara w to, że nic przez przypadek się nie dzieje. Sądzę natomiast, że wiele osób z chciwości popiera obecny stan rzeczy, który mi się nie podoba. Zgadzam się też z tym, że wielu robi to z tak zwanej głupoty. Tym gorzej dla nich, nie żywię wcale większej sympatii dla bezmyślnego durnia niż dla cynicznego drańka, a tym bardziej ideowego przeciwnika. W dodatku uważam, że zło i głupota gdzieś tam w tyglu podświadomości są ze sobą misternie splecione, a ludzka zdolność do samooszukiwania się nie zna granic. Dlatego świadomy „spiskowiec” wydaje mi się istotą, która przynajmniej we własnym wnętrzu zachowała szczerość i jako taka jest warta przekonywania, a traktowana jako przeciwnik zasługuje na szacunek. Pogodny kretyn to często wewnętrznie zakłamany cwaniak, który nawet przed sobą nie ma odwagi przyznać się do tego co robi naprawdę i do czego się to przyczynia. Jako taki jest przypadkiem beznadziejnym, a czy wynika to z genów, czy ze złej woli – niewiele mnie obchodzi. Z tego samego powodu miliony tak zwanych uczciwych ludzi, którzy należeli do kompartii i innych tego typu organizacji (tych innych jeszcze bardziej) napełniają mnie większą odrazą od zacieklej komunistów. Uważam, że wskazywanie na to, co uważam za zło i głupotę jest też torowaniem drogi dla tego, co piękne i dobre. Myślę wreszcie, że schorzenia, o których pisałem, nie polegają na braku pozytywnych rozwiązań, ale na chorobie woli, złudzeniach i wierze w zabobony zamiast starych i wiecznych, nie zawsze zresztą najprzyjemniejszych prawd. Właśnie dlatego rzecz nie leży w pomysłach i technice. Cóż nawet po najlepszych pomysłach ludziom, którzy „patrzą i nie widzą”. Byty idealne są stałe i nieśmiertelne, a wszystko inne zmienne i poddane prawu życia i śmierci. Właśnie dlatego stare

wartości pojawiają się ciągle w odnowionej szacie. Tylko ten, kto na prawdę do nich tęskni, rozpozna je, często w najbardziej nieoczekiwanej formie. Wtedy okaże się, że jest mnóstwo pomysłów i że są one realne, gdy – jak pisał Ortega y Gasset – wystarczająco dużo ludzi zmieni przekonanie o kształcie „dobrobytu”.

Kiedy widzimy z jednej strony ogromne i bogate korporacje, tępych i sprzedajnych polityków, wszechobecne i ogłupiające massmedia, a z drugiej garstkę egzaltowanych dzieciaków, odwołujących się do taniego sentymentalizmu i pikietujących jakiś sklep (a tylko takie akcje pokazują media, siedzące w kieszeni u zamawiającego reklamy wielkiego biznesu), to rzecz może wydawać się beznadziejna. Ale nie zapominajmy, że podobne wrażenie mógł mieć obserwator walki Dawida z Goliatem, pierwszych chrześcijan z Imperium Romanum, Gandhiego z Imperium Brytyjskim, Piłsudskiego z carem i wielu innych. To, co uważamy za rzeczywistość i tak zwane realia, często przypomina pień wielkiego drzewa czy potężny mur. Wystarczy kopnąć czy „walnąć głową”, a okaże się, że drzewo jest spróchniałe, a mur popękany, pod starą formą nie ma już bowiem treści i prawdziwej wiary. Dlatego stale warto próbować i to z różnych stron.

Świadomie tak obficie i być może ze stratą dla oryginalności tego tekstu powoływałem się na wielkich naszej kultury. Postąpiłem tak dlatego, żeby pokazać, że źródła kryzysu były przez nich widziane już wiele dziesiątków lat temu. Jeżeli dzięki temu udało mi się dodać komuś otuchy i uświadomić, że – być może – nie jest tak osamotniony, jak się dzisiaj wielu krytycznie myślącym wydaje, a przez to zachęcić do takich upartych i „nierealnych” działań, to zadanie tej pracy będę uważał za spełnione.

BIBLIOGRAFIA

Ważniejsi autorzy i pozycje cytowane w tekście, w porządku alfabetycznym.

Bhagawadgita, pieśń czcigodnego pana, Oficyna Literacka, Kraków 1995, tłum. M. Kudelska, na str.9 tekstu.

J.M. Bocheński, OP, *Sens życia i inne eseje*, Philed, Kraków 1993, na str.55 tekstu.

A. Einstein, *Out of My Later Years*, za *Who said what*, Chancellor Press, London 1993, na str.13 tekstu.

R.W. Emerson, *Szkice*, Toporzeł, Wrocław 1994, tłum. A. Tretiak, na str.28 tekstu.

Ewangelia wg św. Łukasza, 12, 16-20, *Biblia Tysiąclecia*, Pallotinum, Warszawa 1989, na str.39 tekstu.

J. Fowles, *Hebanowa wieża*, Zysk i s-ka, Poznań 1994, tłum. T. Bieroń, na str.18 tekstu.

M. Głogoczowski, *Etos bezmyślności*, Lewiatan, rozdz.: *Wykład na temat rozwoju potrzeb*, na str.32 tekstu.

W. Hazlitt, *Eseje wybrane*, PIW, Warszawa 1957, tłum. H. Krzeczowski, na str.17 tekstu.

Z. Herbert, wypowiedź dla „*Życia Warszawy*”, na str.53 tekstu.

B. Hoff, *Tao Kubusia Puchatka*, Dom Wydawniczy „Rebis”, Poznań 1993, tłum. R.T. Prinke, na str.26, 39 tekstu.

A. Huxley, *Nowy wspaniały świat*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988, tłum. B. Baran, na str.32 tekstu.

P. Leveque, *Świat grecki*, PWN, Warszawa 1973, tłum. J.Olkiewicz, na str.22 tekstu.

K. Lorenz, *Regres człowieczeństwa*, PIW, Warszawa 1986, tłum. A.D. Tauszyńska, na str.7 tekstu.

W. Łysiak, *Asfaltowy Saloon*, Polonia, Warszawa 1986, na str.38 tekstu.

J. Mackiewicz, *Sprawa Pułkownika Miasojedowa*, Kontra, Londyn 1989, na str.48 tekstu.

J. Mackiewicz, *Zwycięstwo prowokacji*, Kontra, Londyn 1988, , na str.52 tekstu.

F. Nietzsche, *Jutrzenka, myśli o przesądach moralnych*, nakład Jakóba Mortkowicza, Warszawa MCMVII, Wydawnictwo „bis” Warszawa 1992, tłum. S. Wyrzykowski, na str.11, 38 tekstu.

F. Nietzsche, *Zmierzch Bożyszcz. Czyli jak filozofuje się młotem*, nakład Jakóba Mortkowicza, Warszawa MCMV – MCMVI, Wydawnictwo „bis”, Warszawa 1991, tłum S. Wyrzykowski, na str.43, tekstu.

M. Nowakowski, *Homo Polonicus*, Pomost, Warszawa, na str.55 tekstu.

J. Ortega y Gasset, *Bunt mas i inne pisma socjologiczne*, PWN, Warszawa 1982, tłum. P. Niklewicz i H. Woźniakowski, na str.5, 34, 49 tekstu.

M. Puzo, *Ojciec Chrzestny*, Czytelnik, Warszawa 1989, tłum. B. Zieliński, na str.20, 24, 53 tekstu.

K. Pruszyński, recenzja z *Buntu rojstów*, w: „*Wiadomości Literackie*” (1938) nr 9, za: T. Mianowicz, *Zbrodnia literatury*, w: „*Kresy*” nr 16, na str.55 tekstu.

T. Roszak, *Person / Planet*, za: F. Capra, *Punkt zwrotny*, PIW, Warszawa 1987, na str.13 tekstu.

J.P. Sartre, *Intymność i inne opowiadania*, Peon -V Magart, Łódź MCMXCII, tłum. J. Lisowski, na str.20 tekstu.

A. Schopenhauer, *Aforyzmy o mądrości życia*, Czytelnik, Warszawa 1990, tłum. J. Garewicz, na str.22, 36 tekstu.

E.F. Schumacher, *Małe jest piękne. Spojrzenie na gospodarkę świata z założeniem, że człowiek coś znaczy*, PIW, Warszawa 1981, tłum. E.Szymańska, J.Strzelecki, na str.23, 38, 47 tekstu.

Shelley Percy Bysshe, *Obrona poezji*, druk: Korzewski i Nawrocki 1939, tłum. J. Świerżowicz, na str.18 tekstu.

I.B. Singer, *Reguła indywidualizmu*, za: „*Gazeta Wyborcza*”, dodatek: „*Gazeta o Książkach*”, 17.11.1993, na str.51 tekstu.

A. de Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*, PIW, Warszawa 1983, tłum. M. Król, na str.44 tekstu.

A. de Tocqueville, *Dawny ustrój i rewolucja*, Znak, Kraków 1994, tłum. H. Szumańska-Grossowa, na str.44 tekstu.

B. Toporska-Mackiewicz, *Droga Pani*, Oficyna Liberałów, Warszawa 1988, na str.50 tekstu.

St.I. Witkiewicz, *Niemyte dusze*, PIW, Warszawa 1993, na str.23, 52 tekstu.

L. Wittgenstein za: T. Roszak, *The Making of Counter Culture. Reflections on the Technocratic Society and Its Youthful Opposition*, Anchor Books, N.Y. 1969, na str.9 tekstu.

A. Zinowiew, *Homo Sovieticus*, Polonia, Londyn 1984, tłum. S. Deja, na str.42, 43 tekstu.